

Samuel
BECKETT



Czekając
na Godota

Państwowy Instytut Wydawniczy

SAMUEL BECKETT

Czekając na Godota



Tłumaczenie
Antoni Libera

P Państwowy
I Instytut
W Wydawniczy

OSOBY



ESTRAGON

VLADIMIR

LUCKY

POZZO

CHŁOPIEC

AKT I



Droga wiejska. Drzewo.

Wieczór.

Estragon siedząc na niskim kamieniu usiłuje zdjąć sobie but. Ściąga go obiema rękami postępując. Wyczerpany daje za wygraną, zdyszany odpoczywa chwilę, zaczyna próbować na nowo. To samo.

Wchodzi Vladimir.

ESTRAGON: (dając za wygraną): Nic się nie da zrobić.

VLADIMIR (zbliżając się sztywnym, drobnym kroczeniem, na szeroko rozstawionych nogach): Zaczynam się skłaniać ku temu. (Przystaje.) Długo zwalczałem w sobie tę myśl mówiąc sobie: Spokojnie, Vladimir, spokojnie, wszystkiego jeszcze nie spróbowałeś. I walczyłem dalej. (Zamyśla się, rozpamiętuje tę walkę. Do Estragona) Więc znowu jesteś.

ESTRAGON: Myślisz?

VLADIMIR: Miło znów cię zobaczyć. A myślałem już, że odszedłeś na zawsze.

ESTRAGON: Ja też

VLADIMIR: A więc nareszcie znów razem! Trzeba by uczcić to jakoś. Tylko jak? (Zastanawia się.) Wstań, niech cię uściskam.

Wyciąga rękę do Estragona.

ESTRAGON (rozdrażniony): Zaraz, zaraz.

Cisza.

VLADIMIR (dotknięty, chłodno): Można wiedzieć, gdzie jaśnie pan spędził noc?

ESTRAGON: W rowie.

VLADIMIR (zachwycony): W rowie! Gdzie?

ESTRAGON (nie wykonując żadnego gestu): Tam.

VLADIMIR: I nie pobili cię?

ESTRAGON: Pobili? Oczywiście, że mnie pobili.

VLADIMIR: Ci co zawsze?

ESTRAGON: Ci co zawsze? Nie wiem.

Cisza.

VLADIMIR: Gdy myślę tak o tym... od lat... zastanawiam się... co by się z tobą stało... gdyby nie ja... (Stanowczo) Byłbyś niewątpliwie już tylko kupką kości.

ESTRAGON (dotknięty do żywego): No i co z tego?

VLADIMIR (smętnie): Na jednego człowieka to za wiele. (Pauza. Z ożywieniem) Z drugiej strony mówię sobie, dlaczego akurat teraz upadać na duchu. Trzeba było o tym pomyśleć z milion lat temu, przed tysiąc dziewięćsetnym.

ESTRAGON: Och, przestań wreszcie. Lepiej pomóż mi zdjąć to świństwo.

VLADIMIR: Trzymając się za ręce, jako jedni z pierwszych, skoczyliśmy z wieży Eiffla. Liczono się wtedy z nami. Teraz jest już za późno. Nie wpuszczono by nas nawet na górę. (Estragon mocuje się z butem.) Co tam robisz?

ESTRAGON: Zdejmuję but. Nie zdarzyło ci się to nigdy?

VLADIMIR: Buty trzeba zdejmować codziennie. Tyle razy ci mówiłem! Dlaczego mnie nie słuchasz?

ESTRAGON (słabiutko): Pomóż mi!

VLADIMIR: Boli cię?

ESTRAGON: Czy mnie boli! On się pyta, czy mnie boli!

VLADIMIR (ze złością): Zawsze tylko ty cierpisz! Ja się nie liczę. Chciałbym cię zobaczyć na moim miejscu, co wtedy byś powiedział.

ESTRAGON: A co, boli cię?

VLADIMIR: Czy mnie boli! On się pyta, czy mnie boli!

ESTRAGON (wskazując palcem): Ale to jeszcze nie powód, żeby mieć guzik odpięty.

VLADIMIR (pochyłając się): Fakt. (Zapina się.) Do drobiazgów należy przywiązywać wagę w każdej sytuacji.

ESTRAGON: Jak mam do ciebie mówić, zawsze zwlekasz do ostatniej chwili.

VLADIMIR (w zamyśleniu): Ostatnia chwila... (Szuka czegoś w pamięci.) Zwłoka w nadziei ból czemuś zadaje. Kto to powiedział?

ESTRAGON: Pomożesz mi, czy nie?

VLADIMIR: Czasem wydaje mi się, że mimo wszystko nadejdzie. Nie bardzo się wtedy czuję. (Zdejmuje kapelusz, zagląda do środka, maca tam ręką, potrząsa nim, wkłada z powrotem.) Jakby to powiedzieć? Lżej mi, a jednocześnie... (szuka słowa) ogarnia mnie przerażenie. (Z naciskiem) PRZE-RA-ŻENIE. (Znów zdejmuje kapelusz i zagląda do środka.) Dziwne. (Uderza w denko kapelusza, jakby chciał coś z niego wytrząsnąć, znów zagląda do środka, wkłada z powrotem.) Nic się nie da zrobić. (Estragonowi z największym trudem udaje się ściągnąć but. Zagląda do środka, maca tam ręką, odwraca but podeszwą do góry, potrząsa nim, spogląda na ziemię, czy nic nie wypadło, nic nie znajduje, znów wkłada rękę do środka, patrzy przed siebie nieprzytomnie.) No i co?

ESTRAGON: Nic.

VLADIMIR: Pokaż.

ESTRAGON: Nie ma co pokazywać.

VLADIMIR: Spróbuj z powrotem go włożyć.

ESTRAGON (przyjrząwszy się stopie): Dam jej trochę odetchnąć.

VLADIMIR : Oto właśnie cały człowiek, winę nogi zwała na but. (Znów zdejmuje kapelusz, zagląda do środka, maca tam ręką, potrząsa nim, uderza w denko, dmucha do środka, wkłada z powrotem.) To się staje nieznośne. (Cisza. Vladimir pogrąża się w myślach. Estragon porusza palcami u stóp

chłodząc je w ten sposób.) Jeden z łotrów został zbawiony. (Pauza.)
Przyzwoity procent. (Pauza.) Gogo.

ESTRAGON: Co?

VLADIMIR: Może by zacząć żałować?

ESTRAGON: Żałować? Za co?

VLADIMIR: No... (Zastanawia się.) Warto się wdawać w szczegóły?

ESTRAGON: Żeśmy się urodzili?

Vladimir wybuchą głośnym śmiechem, który tłumi natychmiast,
chwytając się za podbrzusze i wykrzywając twarz.

VLADIMIR: Nawet na śmiech nie można już sobie pozwolić.

ESTRAGON: Brakuje tego, okropnie.

VLADIMIR: Najwyżej na uśmiech. (Uśmiecha się nagle szeroko, śmieje
się tak przez chwilę, po czym nagle przestaje.) To nie to samo. Nic się nie da
zrobić. (Pauza.) Gogo.

ESTRAGON (rozdrażniony): Co znowu?

VLADIMIR: Czytałeś Biblię?

ESTRAGON: Biblię... (Zastanawia się.) Musiałem przeglądać.

VLADIMIR (zdziwiony): W bezbożnej szkole?

ESTRAGON: Nie wiem, czy była bezbożna, czy nie.

VLADIMIR: Pomieszało ci się z Roquette. Pamiętasz Ewangelie?

ESTRAGON: Pamiętam mapki Ziemi Świętej. Były kolorowe. Bardzo
ładne. Morze Martwe było bladoniebieskie. Od samego patrzenia chciało się
pić. Pojedziemy tam, mówiłem sobie, pojedziemy tam na nasz miodowy

miesiąc. Będziemy pływać. Będziemy szczęśliwi.

VLADIMIR: Powinieneś być zostać poetą.

ESTRAGON: Byłem nim. (Wskazując na swoje łąchmany.) Nie widać tego?

Cisza.

VLADIMIR: O czym to ja mówiłem... Jak twoja noga?

ESTRAGON: Puchnie.

VLADIMIR: Aha, o dwóch łotrach. Pamiętasz tę historię?

ESTRAGON: Nie.

VLADIMIR: Opowiedzieć ci?

ESTRAGON: Nie.

VLADIMIR: Czas zejdzie. (Pauza.) Chodzi o tych dwóch łotrów ukrzyżowanych razem ze Zbawicielem. Jeden z nich...

ESTRAGON: Z czym?

VLADIMIR: Ze Zbawicielem. Dwaj złoczyńcy. Jeden z nich został podobno zbawiony, a drugi... (szuka przeciwieństwa) potępiony.

ESTRAGON: Zbawiony od czego?

VLADIMIR: Od piekła.

ESTRAGON: Idę.

Nie rusza się.

VLADIMIR: Dlaczego jednak... (pauza) spośród czterech Ewangelistów... mam nadzieję, że cię nie nudzę?

ESTRAGON: Nie słucham.

VLADIMIR: Dlaczego jednak spośród czterech Ewangelistów tylko jeden o tym wspomina? Przecież byli tam wszyscy czterej — tam albo gdzieś w pobliżu. A o zbawionym łotrze mówi tylko jeden, (Pauza.) Odbiłbyś czasem piłeczkę, Gogo.

ESTRAGON (z przesadnym entuzjazmem): Doprawdy, to pasjonujące!

VLADIMIR: Z czterech — jeden. Z trzech pozostałych dwóch w ogóle nie wspomina o łotrach, a trzeci mówi, że obaj mu wymyślali.

ESTRAGON: Komu?

VLADIMIR: Co?

ESTRAGON: Nic nie rozumiem... (Pauza.) Komu wymyślali?

VLADIMIR: Zbawicielowi.

ESTRAGON: Dlaczego?

VLADIMIR: Bo zbawić ich nie chciał.

ESTRAGON: Od piekła?

VLADIMIR: Kretyn! Od śmierci.

ESTRAGON: Zdawało mi się, że mówiłeś o piekle.

VLADIMIR: Od śmierci, od śmierci.

ESTRAGON: No i co z tego?

VLADIMIR: To, że dwaj musieli zostać potępieni.

ESTRAGON: No i co z tego?

VLADIMIR: Ale jeden z czterech mówi, że jeden z dwóch został zbawiony.

ESTRAGON: No więc o co chodzi? Po prostu nie zgadzają się ze sobą i tyle.

VLADIMIR: Ale byli tam wszyscy czterej. A o zbawionym łotrze mówi tylko jeden. Więc dlaczego akurat jemu wierzyć?

ESTRAGON: A kto mu wierzy?

VLADIMIR: Jak to kto? Wszyscy! Znana jest tylko ta wersja.

ESTRAGON: Ludzie to barany.

Wstaje z trudem, idzie utykając ku lewej kulisie, przystaje, wypatruje czegoś w oddali przysłaniając sobie oczy ręką, odwraca się, idzie ku prawej, wypatruje czegoś w oddali. Vladimir przygląda mu się, następnie podchodzi do buta, podnosi go, zagląda do środka, rzuca go natychmiast.

VLADIMIR: Fu!

Spluwa. Estragon wraca na środek, staje tyłem do widowni, patrzy w głąb.

ESTRAGON: Całkiem miłe miejsce. (Odwraca się, idzie na przód sceny, przystaje zwrócony przodem do widowni.) Piękne widoki. (Odwraca się w stronę Vladimira.) Idziemy.

VLADIMIR: Nie można.

ESTRAGON: Dlaczego?

VLADIMIR: Czekamy na Godota.

ESTRAGON (beznadziejnie): A, racja. (Pauza.) Jesteś pewien, że to tu?

VLADIMIR: Co?

ESTRAGON: Mieliśmy czekać.

VLADIMIR: Powiedział, że przy drzewie. (Patrzą na drzewo.) Widzisz jakieś inne?

ESTRAGON: Co to może być?

VLADIMIR: Nie wiem. Wierzba.

ESTRAGON: A liście?

VLADIMIR: Musiała uschnąć.

ESTRAGON: Już nie płacze.

VLADIMIR: Albo to nie pora.

ESTRAGON: Wygląda raczej na krzak.

VLADIMIR Krzew.

ESTRAGON: Krzak.

VLADIMIR: Krzew... (Spostrzegłszy się naraz.) Ty podejrzewasz... że pomyliliśmy miejsce?

ESTRAGON: Miał tu być.

VLADIMIR: Nie powiedział, że przyjdzie na pewno.

ESTRAGON: A jeśli nie przyjdzie?

VLADIMIR: To jutro znowu przyjdziemy.

ESTRAGON: A potem pojutrze.

VLADIMIR: Możliwe.

ESTRAGON: I tak dalej.

VLADIMIR: Znaczy...

ESTRAGON: Aż przyjdzie.

VLADIMIR: Bezlitosny jesteś.

ESTRAGON: Przyszliśmy tu już wczoraj.

VLADIMIR: Skąd! Coś ci się pomyliło.

ESTRAGON: A co robiliśmy wczoraj?

VLADIMIR: Co robiliśmy wczoraj?

ESTRAGON: No?

VLADIMIR: Jestem pewien, że... (Ze złością) Siąc zwątpienie to ty umiesz.

ESTRAGON: Według mnie byliśmy tutaj.

VLADIMIR (rozglądając się dookoła): Poznajesz to miejsce?

ESTRAGON: Tego nie powiedziałem.

VLADIMIR: No więc?

ESTRAGON: To nie ma znaczenia.

VLADIMIR: Mimo wszystko jednak... to drzewo... (odwraca się w stronę widowni) to bagno...

ESTRAGON: Jesteś pewien, że to dziś wieczór?

VLADIMIR: Co?

ESTRAGON: Mieliśmy czekać.

VLADIMIR: Powiedział, że w sobotę. (Pauza.) Tak mi się wydaje.

ESTRAGON: Wydaje ci się!

VLADIMIR: Mam to chyba gdzieś zanotowane.

Grzebie po kieszeniach pełnych wszelkiego rodzaju śmiecia.

ESTRAGON (podchwytliwie): Ale w którą sobotę? I czy dziś jest sobota? Czy aby nie niedziela? (Pauza.) Albo poniedziałek? (Pauza.) Albo piątek?

VLADIMIR (rozglądając się wokół blednie, jakby data była gdzieś wypisana w przestrzeni): Nie, to niemożliwe.

ESTRAGON: Albo czwartek.

VLADIMIR: Co robić?

ESTRAGON: Jeżeli przyszedł wczoraj i nas nie zastał, to możesz być pewny, że dziś już nie przyjdzie.

VLADIMIR: No ale mówiłeś, że byliśmy tu wczoraj,

ESTRAGON: Ja mogę się mylić. (Pauza.) Nie mówmy przez chwilę, dobrze?

VLADIMIR (słabo): Dobrze. (Estragon siada na kamieniu. Vladimir chodzi nerwowo tam i z powrotem przystając od czasu do czasu, by wypatrywać czegoś w oddali. Estragon zapada w sen. Vladimir przystaje wreszcie przed Estragonem.) Gogo... (Cisza.) Gogo... (Cisza.) Gogo!

Estragon zrywa się na równe nogi.

ESTRAGON (uprzytamniając sobie potworność sytuacji): Spałem. (Z wyrzutem) Dlaczego nigdy nie dajesz mi spać?

VLADIMIR: Czułem się samotny.

ESTRAGON: Miałem sen.

VLADIMIR: Nie opowiadaj mi go!

ESTRAGON: Śniło mi się...

VLADIMIR: NIE OPOWIADAJ MI GO!

ESTRAGON (wskazując na świat wokoło): Ten ci wystarcza? (Cisza.)
Niemiły jesteś, Didi. Komu mam się zwierzać ze swoich koszmarów, jeśli nie
tobie?

VLADIMIR: Zachowaj je dla siebie. Wiesz, że tego nie znoszę.

ESTRAGON (chłodno): Są chwile, gdy zastanawiam się, czy nie byłoby
dla nas lepiej, gdybyśmy się rozstali.

VLADIMIR: Daleko byś nie zaszedł.

ESTRAGON: Rzeczywiście, byłoby to nader niekorzystne. (Pauza.)
Byłoby to nader niekorzystne, Didi, co? (Pauza.) Ze względu na piękno
drogi. (Pauza.) I dobro podróżujących. (Pauza. Przymilnie) Co, Didi?

VLADIMIR: Uspokój się.

ESTRAGON (smakując): Uspokój... uspokój... (W rozmarzeniu)
Anglicy mówią: "uspoookój". To ludzie spokooojni. (Pauza.) Znasz dowcip o
Angliku w burdelu?

VLADIMIR: Znam.

ESTRAGON: No to opowiedz mi go.

VLADIMIR: Przestań!

ESTRAGON: Jeden Anglik, upiwszy się bardziej niż zwykle, udał się do
burdelu. Bajzelmama pyta go, czy życzy sobie blondynkę, brunetkę, czy
rudą. No, opowiadaj dalej.

VLADIMIR: PRZESTAŃ!

Wybiega. Estragon wstaje i podąża za nim aż na skraj sceny. Wykonuje
ruchy podobne do tych, jakie wykonuje kibic zagrzewający boksera do walki.
Vladimir wraca, ze spuszczoną głową mija Estragona i przechodzi przez

scenę. Estragon podąża za nim kilka kroków i przystaje.

ESTRAGON (łagodnie): Chciałeś rozmawiać ze mną? (Vladimir nie odpowiada. Estragon postępuje krok naprzód.) Chciałeś mi coś powiedzieć? (Cisza. Jeszcze jeden krok naprzód.) Didi...

VLADIMIR (nie odwracając się): Nie mam ci nic do powiedzenia.

ESTRAGON (krok naprzód): Gniewasz się? (Cisza. Krok naprzód.) Przepraszam. (Cisza. Krok naprzód. Kładzie rękę na ramieniu Vladimira.) No, Didi. (Cisza.) Podaj mi rękę. (Vladimir odwraca się do połowy.) Uściskaj mnie! (Vladimir sztywnieje.) Przestań się boczyć! (VLADIMIR mięknie. Ściskają się. Estragon cofa się.) Cuchniesz czosnkiem!

VLADIMIR: To na nerki. (Cisza. Estragon z uwagą przygląda się drzewu.) Co robimy?

ESTRAGON: Czekamy.

VLADIMIR: No tak, ale czekając?

ESTRAGON: Może by się powiesić?

VLADIMIR: Hmm. Mielibyśmy erekcję.

ESTRAGON (podniecony): Mielibyśmy?

VLADIMIR: I całą resztę. Tam, gdzie to padnie, wyrastają mandragory. Dlatego krzyczą, gdy się je wrywa. Nie wiedziałeś o tym?

ESTRAGON: Wieszajmy się natychmiast!

VLADIMIR: Na gałęzi? (Podchodzą do drzewa i przyglądają mu się.) Nie miałbym do niej zaufania.

ESTRAGON: Zawsze można spróbować.

VLADIMIR: Próbuj.

ESTRAGON: Ty pierwszy.

VLADIMIR: Nie, nie, ty pierwszy.

ESTRAGON: Dlaczego?

VLADIMIR: Lżejszy jesteś.

ESTRAGON: No właśnie.

VLADIMIR: Nie rozumiem.

ESTRAGON: To pomyśl trochę.

Vladimir myśli.

VLADIMIR (w końcu): Nie mam pojęcia.

ESTRAGON: No więc tak. (Zbiera myśli.) Gałąź... gałąź... (Ze złością)
No nie rozumiesz tego?

VLADIMIR: Bez ciebie ani rusz.

ESTRAGON (z wysiłkiem): Gogo lekki — gałąź nie złamana — Gogo trup. Didi ciężki — gałąź złamana — Didi sam. (Pauza.) A jak...

Szuka odpowiedniego sformułowania.

VLADIMIR: Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym.

ESTRAGON (znalazłszy): A jeśli wytrzyma więcej, wytrzyma i mniej.

VLADIMIR: Ale czy ja jestem cięższy?

ESTRAGON: Sam powiedziałeś. Ja tam nie wiem. Szansa jest pół na pół. Albo prawie.

VLADIMIR: Więc co robimy?

ESTRAGON: Nic. Tak jest bezpieczniej.

VLADIMIR: Czekajmy, zobaczymy, co nam powie.

ESTRAGON: Kto?

VLADIMIR: Godot.

ESTRAGON: O, bardzo słusznie.

VLADIMIR: Musimy wpierw jasno wiedzieć co i jak.

ESTRAGON: Z drugiej strony, może lepiej kuć żelazo, póki gorące.

VLADIMIR: Ciekaw jestem, co nam zaproponuje. Przyjmiemy to albo odrzucimy.

ESTRAGON: A o cośmy go właściwie prosili?

VLADIMIR: Nie było cię tam?

ESTRAGON: Nie uważałem.

VLADIMIR: Och... O nic konkretnego.

ESTRAGON: Tak jak w modlitwie.

VLADIMIR: Właśnie tak.

ESTRAGON: Nieokreślona bliżej prośba.

VLADIMIR: Dokładnie tak.

ESTRAGON: I co on odpowiedział?

VLADIMIR: Że zobaczy.

ESTRAGON: Że niczego nie obiecuje.

VLADIMIR: Że musi to przemyśleć.

ESTRAGON: Spokojnie.

VLADIMIR: Pomówić z rodziną.

ESTRAGON: Z przyjaciółmi.

VLADIMIR: Z agentami.

ESTRAGON: Z korespondentami.

VLADIMIR: Przejrzeć papiery.

ESTRAGON: Sprawdzić konto.

VLADIMIR: Zanim podejmie decyzję.

ESTRAGON: Zwykła kolej rzeczy.

VLADIMIR: Prawda?

ESTRAGON: Chyba tak.

VLADIMIR: Ja też tak myślę.

Cisza.

ESTRAGON (zaniepokojony): No dobrze, a my?

VLADIMIR: Co, przepraszam?

ESTRAGON: A my? Pytam.

VLADIMIR: Nie rozumiem.

ESTRAGON: Co z nami?

VLADIMIR: Co z nami?

ESTRAGON: Pomału, nie śpiesz się.

VLADIMIR: Co z nami? Musimy pokornie prosić.

ESTRAGON: Aż tak źle?

VLADIMIR: Jego Ekscelencja chciałby stawiać warunki?

ESTRAGON: A co, nie mamy już praw?

Śmiech Vladimira, urwany jak poprzednio. To samo co poprzednio, tyle że bez uśmiechu.

VLADIMIR: Uśmiełbym się, gdyby mi było wolno.

ESTRAGON: Utraciliśmy je?

VLADIMIR (dobitnie): Zrzekliśmy się.

Cisza. Stoją nieruchomo z pochylonymi głowami, zwisającymi rękami i nogami ugiętymi w kolanach.

ESTRAGON (słabo): Jesteśmy poddanymi? (Pauza.) Czyżbyśmy...

VLADIMIR (podnosząc rękę): Słyszysz?

Nasłuchują, zamarłszy w groteskowych pozach.

ESTRAGON: Nic nie słyszę.

VLADIMIR: Óóó! (Nasłuchują. Estragon traci równowagę i o mało się nie przewraca. Chwyta się ramienia Vladimira, który się chwieje. Nasłuchują przytuleni do siebie twarzą w twarz.) Ja też nie.

Oznaki ulgi. Odprężenie. Rozdzielają się.

ESTRAGON: Napędziłeś mi strachu.

VLADIMIR: Myślałem, że to on.

ESTRAGON: Kto?

VLADIMIR: Godot.

ESTRAGON: E tam! Wiatr w trzcinach.

VLADIMIR: Głowę bym dał, że słyszałem krzyki.

ESTRAGON: Po co by miał krzyczeć?

VLADIMIR: Na konia.

Cisza.

ESTRAGON: Idziemy.

VLADIMIR: Dokąd? (Pauza.) Może już dziś wieczór będzie się spało u niego, w ciepłe, na suchym, z pełnym brzuchem, na słomie. Lepiej czekać. Co?

ESTRAGON: Ale nie przez noc.

VLADIMIR: Dzień jeszcze.

Cisza.

ESTRAGON (gwałtownie): Głodny jestem.

VLADIMIR: Chcesz rzodkiewkę?

ESTRAGON: Tylko to jest?

VLADIMIR: Powinienem mieć jeszcze jakieś rzepy.

ESTRAGON: To daj marchewkę. (VLADIMIR grzebie w kieszeniach, wyjmując rzepę i podaje ją Estragonowi.) Dziękuję. (Estragon nadgryza kawałek. Ze złością) To rzepa!

VLADIMIR: O przepraszam! Głowę bym dał, że to marchew. (Znów grzebie w kieszeniach znajdując jednak tylko rzepy.) Rzepy, same rzepy. (Dalej grzebie.) Zjadłeś już chyba ostatnią. (Dalej grzebie.) Czekaj, mam. (Wyciąga w końcu marchewkę i podaje ją Estragonowi.) Proszę cię bardzo. (Estragon wyciera marchewkę rękawem i zaczyna ją jeść.) Rzepa. (Estragon oddaje Vladirowi rzepę.) Zostaw sobie kawałek na potem, nie ma już więcej.

ESTRAGON (przeżuwając): Pytałem cię o coś.

VLADIMIR: O!

ESTRAGON: Odpowiedziałeś mi?

VLADIMIR: Jak marchewka?

ESTRAGON: Słodziutka.

VLADIMIR: To świetnie. (Pauza.) Więc co tam chciałeś wiedzieć?

ESTRAGON: Właśnie nie pamiętam. (Przeżuwa.) I to mnie dręczy. (Przygląda się marchewce z upodobaniem, obraca ją w palcach.) Pyszna! (W zadumie ssie jej koniec.) O, już wiem.

Odgryza kawałek.

VLADIMIR: No?

ESTRAGON (z pełnymi ustami, tępo): Czy jesteśmy poddanymi?

VLADIMIR: Nie rozumiem, co mówisz.

ESTRAGON (przeżuwając i przełykając): Pytam, czy jesteśmy poddanymi.

VLADIMIR: Podanymi?

ESTRAGON: Pod-danymi.

VLADIMIR: Co przez to rozumiesz?

ESTRAGON: Nie wiesz, co to są poddani?

VLADIMIR: Poddani komu? Czyimi poddanymi?

ESTRAGON: No tego twojego tam.

VLADIMIR: Godota? Poddanymi Godota? Co ci przyszło do głowy!

Skąd! (Pauza,) Na razie nie.

ESTRAGON: On się nazywa Godot?

VLADIMIR: Tak mi się wydaje

ESTRAGON: Hmm. (Podnosi resztkę marchewki za koniuszek natki i obraca ją przed oczami.) Ciekawe, im dalej jem, tym mniej mi smakuje.

VLADIMIR: Ze mną jest odwrotnie.

ESTRAGON: To znaczy?

VLADIMIR: W miarę jedzenia przyzwyczajam się do świństwa.

ESTRAGON (po długim namyśle): To ma być odwrotnie?

VLADIMIR: Kwestia gustu.

ESTRAGON: Charakteru.

VLADIMIR: Nie ma na to rady.

ESTRAGON: Nie przeskoczy się tego.

VLADIMIR: Jest się takim, jakim się jest.

ESTRAGON: Nie przełamie się tego.

VLADIMIR: Rdzeń jest niezmienny.

ESTRAGON: Nic się nie da zrobić. (Podaje resztkę marchewki Vladimirowi.) Chcesz dokończyć?

W pobliżu rozlega się straszliwy krzyk. Estragon upuszcza marchewkę. Zastygają w bezruchu, po czym rzucają się w stronę kulisy. W połowie drogi Estragon zatrzymuje się, biegnie z powrotem, podnosi marchewkę, wpycha ją do kieszeni, biegnie do Vladimira, który czeka na niego, znów się zatrzymuje, znów biegnie z powrotem, podnosi but, znów biegnie do

Vladimira, który czeka na niego, po czym z głowami wtulonymi w ramiona, odwracając się od niebezpieczeństwa, czekają.

Wchodzą Pozzo i Lucky. Pozzo powozi Luckym za pomocą sznura, którym Lucky ma obwiązaną szyję. Sznur jest na tyle długi, że Pozzo wynurza się zza kulisy dopiero w chwili, gdy Lucky jest już pośrodku sceny. Lucky niesie ciężką walizę, składane krzeselko, koszyk z prowiantem i płaszcz (przewieszony przez ramię); Pozzo trzyma bat.

POZZO (zza kulisy): Wio! (Trzask bata. Pozzo pojawia się. Przecinają scenę. Lucky przechodzi koło Vladimira i Estragona i wychodzi. Pozzo na widok Vladimira i Estragona zatrzymuje się nagle. Sznur napina się. Pozzo pociąga zań gwałtownie.) Nazad!

Odgłos upadku Lucky'ego z całym bagażem. Vladimir i Estragon spoglądają w jego stronę, chcą jakby iść mu z pomocą, a jednocześnie boją się mieszać w nie swoje sprawy. Vladimir postępuje krok w kierunku Lucky'ego, Estragon przytrzymuje go za rękaw.

VLADIMIR: Puść mnie!

ESTRAGON: Nie szarp się!

POZZO: Ostrożnie! Jest zły. (VLADIMIR i Estragon spoglądają ku niemu.) Dla obcych.

ESTRAGON (cicho): To on?

VLADIMIR: Jaki on?

ESTRAGON (próbując przypomnieć sobie imię):

No... ten...

VLADIMIR: Godot?

ESTRAGON: O właśnie.

POZZO: Przedstawiam się: jestem Pozzo.

VLADIMIR (do Estragona): Skąd!

ESTRAGON: Powiedział: Godot.

VLADIMIR: Skąd!

ESTRAGON (do Pozza, nieśmiało): Przepraszam, nie jest pan panem Godotem?

POZZO (groźnie): Jestem Pozzo! (Cisza.) Pozzo! (Cisza.) To nazwisko nic panu nie mówi? (Cisza.) Pytam, to nazwisko nic panu nie mówi?

Vladimir i Estragon spoglądają na siebie pytająco.

ESTRAGON (jakby szukał w pamięci): Bozzo... Bozzo...

VLADIMIR (tak samo): Pozzo... Pozzo...

POZZO: PPPOZZO!

ESTRAGON: Ach, Pozzo... Zaraz, zaraz... Pozzo...

VLADIMIR: Pozzo czy Bozzo?

ESTRAGON: Pozzo... nie... niestety... nie przypominam sobie...

Pozzo podchodzi groźnie.

VLADIMIR (pojednawczo): Znałem kiedyś rodzinę Gozzo. Matka miała trypra.

ESTRAGON (pośpiesznie.): Nie jesteśmy tutejsi, proszę pana.

POZZO (zatrzymując się): Niemniej jesteście istotami ludzkimi. (Wkłada okulary.) Jak widzę. (Zdejmuje okulary). Z tego samego gatunku co ja. (Wybuch straszliwym śmiechem.) Z tego samego gatunku co Pozzo!

Stworzeni na obraz i podobieństwo Boga.

VLADIMIR: Znaczy...

POZZO (przerywając): Kto to taki ten Godot?

ESTRAGON: Godot?

POZZO: Wzięliście mnie za jakiegoś Godota.

VLADIMIR: Nie, nie, proszę pana, ani przez chwilę.

POZZO: Kto to taki?

VLADIMIR: No... to jakby... znajomy.

ESTRAGON: Ale gdzie tam, ledwie go znamy.

VLADIMIR: Fakt... nie znamy go dobrze... no ale mimo wszystko...

ESTRAGON: Ja to bym go nawet nie poznał.

POZZO: Wzięliście mnie za niego.

ESTRAGON (cofając się przed Pozzem): Znaczy... wie pan... ciemno... zmęczenie... wycieńczenie... czekanie... tak że przyznam się... że wydawało mi się przez chwilę...

VLADIMIR: Niech pan tego nie słucha, niech pan tego nie słucha!

POZZO: Czekanie? Czekaliście więc na niego?

VLADIMIR: Znaczy...

POZZO: Tu? Na mej ziemi?

VLADIMIR: Nie w złych zamiarach.

ESTRAGON: W dobrej wierze.

POZZO: Droga jest dla wszystkich.

VLADIMIR: Takeśmy też myśleli.

POZZO: To haniebne, no ale tak już jest.

ESTRAGON: Nic się na to nie poradzi.

POZZO (z wielkopańskim gestem): Nie mówmy już o tym. (Pociąga za sznur.) Wstawaj! (Pauza.) Ilekroć padnie, zaraz zasypia. (Pociąga za sznur.) Wstawaj, bydlaku! (Odgłos wstawania Lucky'ego i podnoszenia bagaży. Pozzo pociąga za sznur.) Nazad! (Lucky wchodzi tyłem.) Stój! (Lucky zatrzymuje się.) Zwrot! (Lucky odwraca się. Do Vladimira i Estragona uprzejmie) Rad jestem, panowie, że was spotkałem. (Widząc niedowierzanie na ich twarzach) Naprawdę się cieszę. (Pociąga za sznur.) Bliżej! (Lucky podchodzi.) Stój! (Lucky zatrzymuje się. Do Vladimira i Estragona) Droga się dłuży, panowie, gdy się wędruje samemu przez... (patrzy na zegarek) przez... (oblicza) przez sześć godzin, tak jest, przez sześć godzin pod rząd, i nie spotyka się żywej duszy. (Do Lucky'ego) Płaszcz! (Lucky stawia walizę, podchodzi, podaje płaszcz, cofa się, podnosi walizę.) Trzymaj to. (Pozzo podaje mu bat, Lucky podchodzi, a mając obie ręce zajęte nachyla się i bierze bat w zęby, po czym cofa się. Pozzo zaczyna wkładać płaszcz, przerywa tę czynność.) Płaszcz! (Lucky stawia wszystko, podchodzi do Pozza, pomaga mu włożyć płaszcz, cofa się, podnosi wszystko z powrotem.) Jesień już czuć w powietrzu. (Pozzo kończy zapinać płaszcz, pochyla się, przygląda się sobie i wyprostowuje.) Bat! (Lucky podchodzi, pochyla się, Pozzo wyrywa mu bat z zębów, Lucky cofa się.) Tak, tak, panowie, nie mogę długo się obejść bez towarzystwa bliźnich (wkłada okulary i przygląda się dwóm bliźnim), nawet gdy podobieństwo nie jest doskonałe. (Zdejmuje okulary. Do Lucky'ego) Krzesło! (Lucky stawia walizę i koszyk, podchodzi, rozkłada krzesło, stawia je na ziemi, cofa się, podnosi walizę i koszyk. Pozzo spogląda na krzesło.) Bliżej! (Lucky stawia walizę i koszyk, podchodzi, podsuwa krzesło, cofa się,

podnosi walizę i koszyk. Pozzo siada, końcem bata dotyka piersi Lucky'ego i odpycha go). Nazad! (Lucky cofa się krok do tyłu.) Dalej! (Lucky cofa się jeszcze jeden krok.) Stój! (Lucky zatrzymuje się. Do Vladimira i Estragona) Dlatego też, jeśli pozwolicie, spędzę z wami chwilę, nim dalej ruszę w niepewne. (Do Lucky'ego) Koszyk! (Lucky podchodzi, podaje koszyk, cofa się.) Świeże powietrze wzmacnia apetyt. (Otwiera koszyk, wyjmując z niego kawałek kurczaka i butelkę wina. Do Lucky'ego) Koszyk! (Lucky podchodzi, bierze koszyk, cofa się, nieruchomieje.) Dalej! (Lucky cofa się.) Tu! (Lucky zatrzymuje się.) Cuchnie. Zdrowie!

Pije prosto z butelki, stawia ją na ziemi i zaczyna jeść.

Cisza. Vladimir i Estragon zrazu nieśmiało, potem coraz śmielej, zaczynają krążyć wokół Lucky'ego przyglądając mu się od stóp do głów. Pozzo je żarłocznie kurczaka, wysysa kości i wyrzuca je. Lucky ugina się stopniowo, aż waliza i koszyk dotkną ziemi, wtedy wyprostowuje się gwałtownie i znów zaczyna się uginać. W rytmie śpiącego na stojąco.

ESTRAGON: Co mu jest?

VLADIMIR: Robi wrażenie zmęczonego.

ESTRAGON: Dlaczego nie stawia bagaży?

VLADIMIR: A ja wiem? (Podchodzą coraz bliżej do niego.) Uważaj!

ESTRAGON: Zagadaj do niego.

VLADIMIR: Patrz!

ESTRAGON: Gdzie?

VLADIMIR (wskazując): Na szyję.

ESTRAGON (patrzając na szyję): Nic nie widzę.

VLADIMIR: Tu.

Estragon staje na miejscu Vladimira.

ESTRAGON: Rzeczywiście.

VLADIMIR: Otwarta rana.

ESTRAGON: Od sznura.

VLADIMIR: Od tarcia.

ESTRAGON: To nieuchronne.

VLADIMIR: Od pętli.

ESTRAGON: Od pocierania.

Dalej przyglądając mu się badawczo, zatrzymują wzrok na twarzy.

VLADIMIR (zawistnie): Niezły ma wygląd.

ESTRAGON (wzruszając ramionami i krzywiąc się): Tak uważasz?

VLADIMIR: Troszeczkę zniewieściały.

ESTRAGON: Ślina mu cieknie.

VLADIMIR: To nieuchronne.

ESTRAGON: I piana.

VLADIMIR: Może to przygłup.

ESTRAGON: Kretyn.

VLADIMIR (przybliżając głowę): Jakby wole.

ESTRAGON (jak wyżej): Niekoniecznie.

VLADIMIR: Dyszy.

ESTRAGON: To nieuchronne.

VLADIMIR: I oczy!

ESTRAGON: Oczy?

VLADIMIR: Wyłążą z orbit.

ESTRAGON: Na mnie robi takie wrażenie, jakby za chwilę miał zdechnąć.

VLADIMIR: Niekoniecznie. (Pauza.) Zagadnij go o coś.

ESTRAGON: Myślisz?

VLADIMIR: Ryzykujemy coś?

ESTRAGON (nieśmiało): Proszę pana...

VLADIMIR: Głośniej.

ESTRAGON (głośniej): Proszę pana...

POZZO: Zostawicie wy go w spokoju! (Odwracają się w stronę Pozza, który skończywszy jeść, ociera usta ręką.) Nie widzicie, że chce odpocząć? Koszyk! (Wyjmuje fajkę i zaczyna ją nabijać. Estragon spostrzega kości kurczaka na ziemi i wpatruje się w nie łakomie. Pozzo pociera zapalną i zaczyna zapalać fajkę.) Koszyk! (Lucky nie rusza się, Pozzo ciska zapalną ze złością i pociąga za sznur.) Koszyk! (Lucky o mało się nie przewraca, dochodzi do siebie, podchodzi, wkłada butelkę do koszyka, wraca na miejsce, przyjmuje poprzednią pozycję. Estragon wpatruje się w kości, Pozzo pociera drugą zapalną i zapala fajkę.) Czego byście chcieli, to nie należy do niego. (Wciąga kłęb dymu, wyprostowuje nogi.) No, dużo lepiej.

ESTRAGON (nieśmiało): Przepraszam pana bardzo...

POZZO: O co chodzi, dobry człowieku?

ESTRAGON: Ee... czy pan już skończył... czy będą jeszcze panu potrzebne... te kości?

VLADIMIR (oburzony): Nie mógłbyś zaczekać?

POZZO: Nie, nie, nic w tym złego, że pyta. Czy będą mi potrzebne kości? (Trąca je końcem bata.) Nie, co do mnie, już ich nie potrzebuję. (Estragon robi krok w stronę kości.) Ale... (Estragon zatrzymuje się) ale w zasadzie kości należą do tragarza. Jego więc trzeba zapytać. (Estragon odwraca się w stronę Lucky'ego, waha się.) Śmiało, śmiało, niech pan pyta, powie panu.

Estragon idzie w stronę Lucky'ego, staje przed nim.

ESTRAGON: Proszę pana... przepraszam pana...

Lucky nie reaguje. Pozzo strzela z bata. Lucky podnosi głowę.

POZZO: Mówią do ciebie, bydlaku! Odpowiadaj! (Do Estragona) No, jeszcze raz.

ESTRAGON: Przepraszam pana bardzo, czy ma pan ochotę na te kości?

Lucky patrzy długo na Estragona.

POZZO (w zachwycie): Pan! (Lucky pochyła głowę.) Odpowiadaj! Chcesz kości, czy nie? (Lucky milczy. Do Estragona) Należą do pana. (Estragon rzuca się na kości, zbiera je i zaczyna ogryzać.) Dziwne. Nigdy dotąd nie odmawiał. (Patrzy na Lucky'ego zaniepokojony.) Mam nadzieję, że nie zrobi mi głupiego kawału i nie rozchoruje się.

Pociąga fajkę.

VLADIMIR (wybuchając): Haniebne!

Cisza. Estragon, osłupiały, przestaje ogryzać kości, spogląda to na

Vladimira, to na Pozza. Pozzo pozornie spokojny. Vladimir coraz bardziej zażenowany.

POZZO (do VLADIMIRA): To ma być jakaś aluzja?

VLADIMIR (zdecydowany, jękając się): Traktować człowieka... (wskazuje na Lucky'ego) w ten sposób... uważam to... istotę ludzką... nie... to hańba!

ESTRAGON (nie chcąc pozostać w tyle): Wstyd!

Dalej ogryza kości.

POZZO: Surowi jesteście, panowie. (Do Vladimira) Ile pan ma lat, jeśli wolno zapytać? (Cisza.) Sześćdziesiąt?... Siedemdziesiąt?... (Do Estragona) Ile by pan mu dał?

ESTRAGON: Jedenaście.

POZZO: Bezczelny jestem. (Wystukuje fajkę o bat, wstaje.) Muszę już iść. Dziękuję za towarzystwo. (Zastanawia się.) Chyba żebym wypalił jeszcze jedną fajkę. Co wy na to? (Milczą) Nie, nie jestem nałogowym palaczem, palę bardzo mało, nie zdarza mi się palić jednej fajki za drugą, (kładzie rękę na sercu) to szkodzi mi na serce. (Pauza.) Nikotyna, wchłania się to, nawet zachowując ostrożność. (Wzdycha.) Wiecie, jak to jest. (Cisza.) Ale może wy nie palicie, co? Tak? Nie? Zresztą to bez znaczenia. (Cisza.) Ale jak tu teraz usiąść, skoro się już podniosłem? Żeby to było naturalne, żeby nie wyglądało — jakby to powiedzieć — na jakieś ustępstwo. (Do VLADIMIRA) Pan coś mówił? (Cisza.) Może nic pan nie mówił? (Cisza.) Zresztą to bez znaczenia. Niech no pomyślę...

Namyśla się.

ESTRAGON: No, dużo lepiej.

Wyrzuca kości.

VLADIMIR: Chodź, idziemy.

ESTRAGON: Już?

POZZO: Chwileczkę! (Pociąga za sznur.) Krzesło! (Wskazuje krzesło batem. Lucky podsuwa krzesło.) Bliżej! Tu! (Siada. Lucky cofa się, podnosi walizę i koszyk.) No, udało się!

Zaczyna nabijać fajkę.

VLADIMIR (gwałtownie): Chodź, idziemy!

POZZO: Mam nadzieję, że to nie ja was spłoszyłem. Zostańcie jeszcze trochę, nie pożałujecie.

ESTRAGON (węsząc jałmużnę): Mamy czas.

POZZO (zapaliwszy fajkę): Druga nie jest już tak dobra... (wyjmuje fajkę z ust, przygląda się jej) jak pierwsza, chciałbym powiedzieć. (Wkłada z powrotem fajkę do ust.) Chociaż właściwie dobra jest tak samo.

VLADIMIR: Idę.

POZZO: Nie może znieść mojej obecności. Może nie jestem zbyt ludzki, ale warto się tym przejmować? (Do VLADIMIRA) Radzę się zastanowić, nim zrobi pan jakieś głupstwo. Przypuśćmy, że odchodzi pan teraz, jeszcze za dnia, bo mimo wszystko jeszcze jest dzień. (Wszyscy trzej spoglądają w niebo.) Dobrze. (Przestają patrzeć w niebo.) No i co wtedy... (wyjmuje fajkę z ust, sprawdza ją) zgasła... (zapala ją na nowo) co wtedy... (pociąga) co wtedy... (pociąga) co wtedy z pana spotkaniem z tym, jak mu tam... Godetem... Godotem... Gobotem... (cisza) no wie pan, o kogo mi chodzi... ten, od którego zależy pana przyszłość... (pauza) przynajmniej ta najbliższa?

ESTRAGON: Ma rację.

VLADIMIR: Skąd pan o tym wie?

POZZO: No proszę, znów się do mnie odzywa! Polubimy się jeszcze.

ESTRAGON: Dlaczego on nie stawia bagaży?

POZZO: Sam bym z radością go spotkał. Im więcej spotykam ludzi, tym czuję się szczęśliwszy. Najmarniejsza istota uczy nas czegoś, wzbogaca, pozwala lepiej smakować własne szczęście. Nawet i pan... (patrzy uważnie to na jednego, to na drugiego, żeby dać im do zrozumienia, że obu ma na myśli) nawet i pan, kto wie, może mi coś dać.

ESTRAGON: Dlaczego on nie stawia bagaży?

POZZO: Choć byłoby to dla mnie zaskakujące.

VLADIMIR: Pytano pana o coś.

POZZO (zachwycony): Pytano! Kto? O co? (Cisza.) Dopiero co drżeliście ze strachu zwracając się do mnie w lansadach. A oto już mnie pytacie. To się źle skończy.

VLADIMIR (do Estragona): Teraz już chyba cię usłyszy.

ESTRAGON (krążąc wokół Lucky'ego): Co?

VLADIMIR: Teraz spróbuj go zapytać. Teraz już dotrze do niego.

ESTRAGON: O co mam go pytać?

VLADIMIR: Dlaczego nie stawia bagaży.

ESTRAGON: Właśnie się nad tym zastanawiam.

VLADIMIR: No więc zapytaj go, nie możesz?

POZZO (który śledził z napiętą uwagą tę wymianę zdań w obawie, by nie umknął mu problem): Więc pyta pan, dlaczego on nie stawia bagaży, czy

tak?

VLADIMIR: Otóż to.

POZZO (do Estragona): Pan także?

ESTRAGON (wciąż krążąc wokół Lucky'ego): Dyszy jak foka.

POZZO: Już odpowiadam. (Do Estragona) Tylko błagam, nie ruszaj się pan przez chwilę, denerwuje mnie to.

VLADIMIR: Chodź tu.

ESTRAGON: O co chodzi?

VLADIMIR: Będzie mówił.

Estragon podchodzi do Vladimira. Nieruchomi, ramię w ramię, czekają.

POZZO: Świetnie. Są wszyscy? Wszyscy na mnie patrzą? (Spogląda na Lucky'ego, pociąga za sznur. Lucky podnosi głowę.) Patrz na mnie, bydlaku! (Lucky patrzy na niego.) Świetnie. (Wkłada fajkę do kieszeni, wyjmuje mały rozpylacz i spryskuje sobie gardło, wkłada z powrotem rozpylacz do kieszeni, odchrząkuje, słuwa, znów wyjmuje rozpylacz, jeszcze raz spryskuje sobie gardło, wkłada z powrotem rozpylacz do kieszeni.) Jestem gotowy. Wszyscy mnie słuchają? (Spogląda na Lucky'ego, pociąga za sznur.) Bliżej! (Lucky podchodzi.) Tu! (Lucky zatrzymuje się.) Wszyscy gotowi? (Patrzy na wszystkich po kolei, na Lucky'ego na końcu, pociąga za sznur.) No co jest? (Lucky podnosi głowę.) Nie lubię mówić w próżnię. W porządku. Niech no zbiorę myśli.

Namyśla się.

ESTRAGON: Idę.

POZZO: O co mnie pan właściwie pytał?

VLADIMIR: Dlaczego on...

POZZO (ze złością): Ale niech mi pan nie przerywa! (Pauza. Spokojnie) Jeżeli będziemy mówić wszyscy naraz, to do niczego nie dojdziemy. (Pauza.) O czym to ja mówiłem? (Pauza. Głośniej) O czym to ja mówiłem?

Vladimir naśladuje obładowanego tragarza. Pozzo przygląda mu się bez zrozumienia.

ESTRAGON (z siłą): Bagaż! (Wskazuje na Lucky'ego.) Dlaczego? Zawsze trzyma. (Ugina się, dyszy.) Nigdy nie stawia. (Rozkłada ręce, wyprostowuje się z ulgą.) Dlaczego?

POZZO: A! Od razu trzeba było mi powiedzieć. Dlaczego sobie nie ulży. Spróbujmy to sobie wyjaśnić. Czy nie ma prawa? Ma. Wynika więc z tego, że nie chce. Oto całe wytłumaczenie. Dlaczego jednak nie chce? (Pauza.) Otóż, panowie, dlatego.

VLADIMIR (do Estragona): Uważaj teraz.

POZZO: Chce mi się przypodobać, żebym go zatrzymał.

ESTRAGON: Jak?

POZZO: Może nie dość jasno się wyraziłem. Chce mnie rozmiękczyć, żebym zarzucił myśl o rozstaniu się z nim. Nie, nie, to jeszcze nie tak.

VLADIMIR: Chciałby się pan go pozbyć?

POZZO: Chce mnie nabrać, lecz mu się to nie uda.

VLADIMIR: Chciałby się pan go pozbyć?

POZZO: Wyobraża sobie, że robiąc na mnie dobre wrażenie jako tragarz skłoni mnie, bym dalej zatrudniał go w tym charakterze.

ESTRAGON: Ma pan go już dosyć?

POZZO: W rzeczywistości nadaje się do noszenia jak wół do karety. To nie jego fach.

VLADIMIR: Chciałby się pan go pozbyć?

POZZO: Wyobraża sobie, że jak stworzy wrażenie niezmordowanego, to będę żałował tej decyzji. Tak to sobie nędznie wykalkulował. Jakby brakowało rąk do pracy! (Wszyscy trzej spoglądają na Lucky'ego.) Atlas, syn Jowisza! (Cisza) Więc to tyle. Chyba odpowiedziałem na wasze pytanie. Jeszcze coś macie?

Spryskuje sobie gardło.

POZZO: Zwróćcie uwagę, że równie dobrze ja mógłbym być na jego miejscu, a on na moim. Gdyby przypadek nie sprawił, że stało się odwrotnie. Każdemu co mu się należy.

VLADIMIR: Chciałby się pan go pozbyć?

POZZO: Co, przepraszam?

VLADIMIR: Chciałby się pan go pozbyć?

POZZO: No pewnie! Ale zamiast przepędzić go, tak jak mógłbym to zrobić, to znaczy po prostu wykopać za drzwi, prowadzę go, mając dobre serce, na targ Zbawiciela, gdzie powinienem dostać jeszcze coś za niego, mam nadzieję. Prawdę powiedziawszy, nie sposób wyganiać takich istot. Najlepiej byłoby je zabijać.

Lucky płacze.

ESTRAGON: Płacze.

POZZO: Stare psy mają więcej godności. (Podaje Estragonowi chusteczkę do nosa.) Niech go pan pocieszy, skoro go panu żal. (Estragon waha się.) No, proszę. (Estragon bierze chustkę.) Niech mu pan otrze łyzy. Nie

będzie się czuł taki opuszczony.

Estragon wciąż się waha.

VLADIMIR: Daj, ja to zrobię.

Estragon nie chce oddać chustki. Drocą się o nią ze sobą jak dzieci.

POZZO: Pośpieszcie się. Zaraz przestanie. (Estragon zbliża się do Lucky'ego i zabiera się do ocierania mu oczu. Lucky kopie go gwałtownie w łydkę. Estragon upuszcza chustkę, odskakuje w tył, kuśtyka wokół sceny krzycząc z bólu.) Chustka!

Lucky stawia walizę i koszyk, podnosi chustkę, podchodzi do Pozza, podaje mu ją, cofa się, podnosi walizę i koszyk.

ESTRAGON: Świnia! Bydlak! (Podciąga nogawkę.) Zranił mnie!

POZZO: Mówiłem, że nie lubi obcych.

VLADIMIR (do Estragona): Pokaż. (Estragon pokazuje mu nogę. Do Pozza, ze złością) Krwawi!

VLADIMIR: Chciałby się pan go pozbyć?

POZZO: To dobry znak.

ESTRAGON (na jednej nodze): Nie będę mógł już chodzić!

VLADIMIR (z troską): Będę cię nosił. (Pauza.) Jeśli zajdzie potrzeba.

POZZO: Już nie płacze. (Do Estragona) W pewnym sensie pan go zastąpił. (Lirycznie.) Łez na świecie zawsze jest tyle samo. Gdy jeden przestaje płakać, drugi gdzie indziej zaczyna. Tak samo ze śmiechem. (Śmieje się.) Nie narzekajmy więc na nasze czasy, nie ma w nich więcej nieszczęścia niż dawniej. (Cisza.) Ale i nie chwalmy ich sobie. (Cisza.) Po prostu nie mówmy o nich. (Cisza. Ze rozumieniem) Fakt, ludności przybywa.

VLADIMIR: Spróbuj przejść kawałek.

Estragon utykając przechodzi kilka kroków, staje przed Luckym, opluwa go, po czym siada na kamieniu, na którym siedział na początku.

POZZO: Wiecie, kto nauczył mnie tych wszystkich pięknych rzeczy? (Pauza. Wskazując palcem na Lucky'ego.) On! Lucky!

VLADIMIR (patrząc w niebo): Ta noc nigdy nie zapadnie?

POZZO: Gdyby nie on, moje uczucia i myśli wiązałyby się wyłącznie z moim... mało ważnym zajęciem. (Pauza. Gwałtownie) Byłyby przyziemne i niskie! (Spokojniej) Piękno, delikatność, prawda pierwszej klasy były dla mnie nieosiągalne, zdawałem sobie z tego sprawę. Dlatego wziąłem sobie podknutka.

VLADIMIR (mimo woli, oderwany od przyglądania się niebu): Podknutka?

POZZO: Było to jakieś sześćdziesiąt lat temu... (liczy w pamięci) tak, blisko sześćdziesiąt. (Wyprostowując się dumnie) Nie dalibyście mi tyle, co? (Vladimir spogląda na Lucky'ego.) Przy nim wyglądam jak młodzik, nie? (Pauza. Do Lucky'ego) Kapelusz! (Lucky stawia koszyk i zdejmuje kapelusz. Wokół twarzy opadają mu długie, siwe włosy. Wkłada kapelusz pod pachę i podnosi koszyk.) A teraz patrzcie.

(Pozzo zdejmuje kapelusz. Jest kompletnie łyсы. Wkłada kapelusz z powrotem.) Widzieliście?

VLADIMIR: Co to jest podknutek?

POZZO: Nie jest pan tutejszy. Czy jest pan w ogóle z tej epoki? Dawniej miewano błaznów. Obecnie miewa się podknutków. Jeśli można sobie na to pozwolić.

VLADIMIR: I teraz go pan wygania? Takiego starego, wiernego sługę?

ESTRAGON: Świnia!

Pozzo coraz bardziej wzburzony.

VLADIMIR: Wyssał pan z niego co najlepsze i teraz wyrzuca go pan jak... (szuka określenia) jak skórkę od banana. Przyzna pan, że to...

POZZO (jęcząc, trzymając się za głowę): Nie mogę już wytrzymać... tego, co on wyprawia... nie macie pojęcia... to jest straszne... musi odejść... (macha rękami) doprowadza mnie do szału... (załamuje się, głowę kryje w dłoniach) nie mogę już... nie mogę...

Cisza. Wszyscy patrzą na Pozza. Lucky dygocze.

VLADIMIR: Nie może już.

ESTRAGON: To straszne.

VLADIMIR: Doprowadza go do szału.

ESTRAGON: To ohydne.

VLADIMIR (do Lucky'ego): Jak śmiesz? To haniebne! Taki dobry pan! Tak go zdręczać! Po tylu latach! Coś podobnego!

POZZO (łkając): A taki był kiedyś miły... uczynny... dowcipny... czuwał nade mną jak anioł... a teraz... teraz mnie dobija...

ESTRAGON (do VLADIMIRA): Chciałby go kimś zastąpić?

VLADIMIR: Co?

ESTRAGON: No czy chciałby znaleźć kogoś na jego miejsce, czy już nie?

VLADIMIR: Nie wydaje mi się.

ESTRAGON: Co?

VLADIMIR: Nie wiem.

ESTRAGON: Spytaj go.

POZZO (uspokoiwszy się): Nie wiem, co mnie naszło, panowie. Wybaczcie mi. Zapomnijcie o tym. (Opanowuje się stopniowo.) Nie pamiętam już dokładnie, co mówiłem, ale możecie być pewni, że nie było w tym słowa prawdy. (Wyprostowuje się i uderza w pierś.) Czy ja wyglądam na kogoś, kto dałby się zadreczać? No, sami powiedzcie! (Grzebie w kieszeniach.) Co ja zrobiłem z fajką?

VLADIMIR: Uroczy wieczór.

ESTRAGON: Niezapomniany.

VLADIMIR: I jeszcze się nie skończył.

ESTRAGON: Tak jakby.

VLADIMIR: Dopiero się zaczyna.

ESTRAGON: To straszne.

VLADIMIR: Zupełnie jak widowisko.

ESTRAGON: W cyrku.

VLADIMIR: W music-hallu.

ESTRAGON: W cyrku.

POZZO: Gdzie się podział mój cybuch?

ESTRAGON: Ale zgrywy! Zgubił gdzieś swoją fajurę!

Śmieje się głośno.

VLADIMIR: Zaraz wracam.

Kieruje się za kulisę.

ESTRAGON: W głębi korytarza na lewo.

VLADIMIR: Pilnuj mi miejsca.

Wychodzi.

POZZO (prawie płacząc): Zgubiłem gdzieś Abdullaha!

ESTRAGON (skręcając się ze śmiechu): Oj, bo skonam ze śmiechu!

POZZO (podnosząc głowę): Nie widział pan przypadkiem... (Spostrzega nieobecność VLADIMIRA. Zasmucony) Och! Poszedł!... Nie pożegnawszy się nawet! Tak się nie robi! Powinien był go pan powstrzymać.

ESTRAGON: I tak się powstrzymywał.

POZZO: Ach! (Pauza.) No to całe szczęście w takim razie.

ESTRAGON (wstając): Niech pan podejdzie.

POZZO: Po co?

ESTRAGON: Zobaczy pan.

POZZO: Mam wstać?

ESTRAGON: Prędeż! (Pozz o wstaje i podchodzi do Estragona.) Widzi pan?

POZZO (włożywszy okulary): Ho, ho, ho!

ESTRAGON: Już po wszystkim.

Wchodzi VLADIMIR, zachmurzony, potrąca Lucky'ego, kopnięciem wywraca krzesło, wzburzony chodzi tam i z powrotem.

POZZO: Jest niezadowolony.

ESTRAGON: Straciłeś wspaniały numer. Szkoda.

Vladimir zatrzymuje się, ustawia krzesło, znów zaczyna chodzić tam i z powrotem, tyle że spokojniej.

POZZO: Uspokaja się. (Rozgląda się wokół.) Zresztą, wszystko się uspokaja, czuję to. Przychodzi wielki spokój. Słyszysz pan? (Podnosi rękę.) Pan już śpi.

VLADIMIR (zatrzymując się): Ta noc nigdy nie zapadnie?

Wszyscy trzej spoglądają w niebo.

POZZO: Wcześniej nie zamierzacie odejść?

ESTRAGON: Widzi pan... Wie pan...

POZZO: Rozumiem doskonale, rozumiem doskonale. W waszej sytuacji, gdy miałbym się spotkać z tym jak mu tam... Gobotem... Godetem... Godotem... no wiecie, o kogo mi chodzi, to czekałbym do późnej nocy, zanim bym dał za wygraną. (Spogląda na krzesło.) Usiadłbym chętnie, tylko nie wiem zupełnie, jak się do tego zabrać.

ESTRAGON: Mógłbym w tym panu jakoś pomóc?

POZZO: Może gdyby mnie pan poprosił.

ESTRAGON: O co?

POZZO: No żebym usiadł.

ESTRAGON: To panu pomoże?

POZZO: Wydaje mi się, że tak.

ESTRAGON: W porządku. Będzie pan łaskaw usiąść, bardzo proszę.

POZZO: Nie, nie, nie ma potrzeby. (Pauza. Ściszone głośnie) No,

niech pan nalega.

ESTRAGON: Niechże pan siada, błagam pana, jeszcze się pan nabawi zapalenia płuc.

POZZO: Myśli pan?

ESTRAGON: To więcej niż pewne.

POZZO: Chyba ma pan rację. (Siada.) No, znów się udało! (Pauza.) Uprzejmie panu dziękuję. (Estragon też siada. Pozzo patrzy na zegarek.) Ale w zasadzie czas już na mnie, jeśli się mam nie spóźnić.

VLADIMIR: Czas się zatrzymał.

POZZO (przykładając zegarek do ucha): Niech pan w to nie wierzy, niech pan w to nie wierzy. (Wkłada zegarek z powrotem do kieszeni.) Wszystko, tylko nie to.

ESTRAGON (do Pozza): Wszystko dziś widzi na czarno.

POZZO: Oprócz firmamentu. (Śmieje się zadowolony ze swego dowcipu.) Cierpliwości, nadejdzie niebawem. Ale już wiem w czym rzecz, nie jesteście tutejsi, panowie, więc nie wiecie jeszcze, jak u nas wygląda zmierzch. Opowiedzieć wam? (Cisza. Estragon znów zaczyna zaglądać do buta, a Vladimir do kapelusza. Upada kapelusz Lucky'ego, czego ten jednak nie spostrzega.) Nie mogę wam tego odmówić. (Spryskuje sobie gardło.) Proszę o chwilę uwagi. (Vladimir i Estragon nadal pochłonięci manipulowaniem przy bucie i kapeluszu, Lucky na wpół śpi. Pozzo strzela z bata, ale wychodzi to słabo.) Co jest z tym batem? (Wstaje i strzela energiczniej, tym razem ze skutkiem. Lucky podrywa się. Vladimirowi i Estragonowi wypadają z rąk kapelusz i but. Pozzo rzuca bat.) Do wyrzucenia jest ten bat. (Spogląda na Vladimira i Estragona.) O czym to ja mówiłem?

VLADIMIR: Chodź, idziemy.

ESTRAGON: Ale niechże pan siądzie, zaklinam pana, jeszcze pan nam tu kipnie.

POZZO: Fakt. (Siada. Do Estragona) Jak się pan nazywa?

ESTRAGON: Adam.

POZZO (nie słuchając odpowiedzi): Aha, o nocy! (Podnosi głowę.) Tylko uważajcie jednak trochę, panowie, bo inaczej do niczego nie dojdziemy. (Patrzy w niebo.) Spójrzcie. (Wszyscy trzej spoglądają w niebo, oprócz Lucky'ego, który zapadł w drzemkę. Pozzo spostrzegłszy to, pociąga za sznur.) Spojrzysz ty w niebo, bydlaku! (Lucky zadziera głowę.) Dobrze, wystarczy. (Opuszczają głowy.) No i cóż my tu takiego widzimy? Niebo jak niebo. Szare i rozjaśnione jak każde niebo o tej porze dnia. (Pauza.) W tych stronach. (Pauza.) Kiedy jest pogoda. (Lirycznie) Jakąś godzinę temu (spogląda na zegarek, rzeczowo) mniej więcej (lirycznie) przelawszy na nas od... (waha się, rzeczowo) powiedzmy od dziesiątej rano (lirycznie) niesłabnące potoki czerwonego i białego światła zaczęło tracić swój blask, zaczęło blednąć (gest polegający na stopniowym opuszczaniu obu rąk), blednąć, coraz bardziej, coraz bardziej, aż nagle (dramatyczna pauza, gest polegający na szerokim, poziomym rozwarciu obu rąk) ciach! skończyło się! spokój! (Cisza.) Ale... (podnosi rękę w geście przestrogi) ale pod tą osłoną spokoju i łagodności (wznosi oczy ku niebu, inni powtarzają za nim ten gest, oprócz Lucky'ego) skrada się noc (głos zaczyna mu drżeć) i spadnie na nas (strzela palcami) pach! o tak! (opuszcza go natchnienie) gdy najmniej się tego spodziewamy. (Cisza. Ponuro) Tak to jest na tej kurewskiej ziemi.

Długa cisza.

ESTRAGON: No to teraz już wiemy.

VLADIMIR: Można cierpliwie czekać.

ESTRAGON: Wiadomo, czego się trzymać.

VLADIMIR: Nie ma powodu do obaw.

ESTRAGON:: Trzeba po prostu czekać.

VLADIMIR: Nawykliśmy już do tego.

Podnosi kapelusz, zagląda do środka, potrząsa nim, wkłada z powrotem na głowę.

POZZO: No, jak mnie oceniacie? (Vladimir i Estragon spoglądają na niego nie rozumiejąc, o co mu chodzi.) Dobrze? Dostatecznie? Mniej niż dostatecznie? Słabo? Zdecydowanie źle?

VLADIMIR (pierwszy rozumiejąc): Ach, bardzo dobrze, bardzo dobrze.

POZZO (do Estragona): A pan?

ESTRAGON: O, wery gut, wery wery gut.

POZZO (żarliwie): Dziękuję wam, panowie, doprawdy dziękuję! (Pauza.) Tak bardzo potrzebuję słów uznania. (Zastanawia się.) Ale pod koniec jakbym był trochę słabszy. Nie mieliście takiego wrażenia?

VLADIMIR: No, może minimalnie.

ESTRAGON: Wydawało mi się, że to naumyślnie.

POZZO: Pamięć już nie ta.

Cisza.

ESTRAGON: Tymczasem nic się nie dzieje.

POZZO (smutno): Nudzi się pan?

ESTRAGON: Tak jakby.

POZZO (do Vladimira): A pan?

VLADIMIR: Bywało mi weselej.

Cisza. Pozzo bije się z myślami.

POZZO: Byliście panowie... (szuka słowa) uprzejmi dla mnie.

ESTRAGON: Ale skąd!

VLADIMIR: Nic podobnego!

POZZO: Tak, tak, byliście bardzo w porządku. Więc zastanawiam się... co ja z kolei mógłbym zrobić dla tak porządnych ludzi, którzy akurat się nudzą.

ESTRAGON: Nawet dycha byłaby mile widziana.

VLADIMIR (oburzony): Nie jesteśmy żebrakami!

POZZO: Co mógłbym zrobić... zastanawiam się... żeby ich trochę rozerwać? Dałem im kości, opowiedziałem im to i owo, objaśniłem im zmierzch, no, nie da się temu zaprzeczyć. Ale czy to wystarczy, to właśnie mnie dręczy, czy to wystarczy?

ESTRAGON: Nawet piątka.

VLADIMIR: Przestań!

ESTRAGON: Mniej już nie wypada.

POZZO: Czy to wystarczy? Z całą pewnością. Ale ja jestem hojny. Taka już moja natura. Dziś wieczór. Tym gorzej dla mnie. (Pociąga za sznur. Lucky spogląda na niego.) Bo będę cierpieł, to więcej niż pewne. (Nie wstając z krzesła podnosi bat.) Czego byście sobie życzyli? Żeby zatańczył, zaśpiewał, zadeklamował, pomyślał, czy żeby...

ESTRAGON: Kto?

POZZO: Kto! A co, wy umiecie myśleć?

VLADIMIR: To on myśli?

POZZO: Jeszcze jak! Głośno. Kiedyś to myślał nawet bardzo ładnie, mogłem go słuchać godzinami. Teraz... (Przechodzi go dreszcz.) No, mniejsza, tym gorzej dla mnie. Więc dobrze, chcecie, żeby pomyślał coś dla nas?

ESTRAGON: Wolałbym już, żeby zatańczył, to byłoby zabawniejsze.

POZZO: Niekoniecznie.

ESTRAGON: Didi, prawda, że byłoby zabawniejsze?

VLADIMIR: Ja bym chętnie posłuchał, jak myśli,

ESTRAGON: A nie mógłby najpierw zatańczyć, a potem pomyśleć? Jeśli to nie za wiele dla niego.

VLADIMIR (do Pozza): Byłoby to możliwe?

POZZO: Ależ oczywiście, nic prostszego. To zresztą naturalna kolej rzeczy.

Śmieje się krótko.

VLADIMIR: Niech tańczy w takim razie.

Cisza.

POZZO (do Lucky'ego): Słyszałeś?

ESTRAGON: Nigdy nie odmawia?

POZZO: Już to panu tłumaczę. (Pauza.) Tańcz, nędzniku!

Lucky stawia walizę i koszyk, postępuje kilka kroków naprzód, odwraca się do Pozza. Estragon wstaje, żeby lepiej widzieć. Lucky tańczy. Przestaje

tańczyć.

ESTRAGON: I to już wszystko?

POZZO: Jeszcze!

Lucky powtarza te same ruchy, po czym przestaje tańczyć.

ESTRAGON: Phi! Tak to i ja potrafię. (Naśladuje ruchy Lucky'ego, o mało się nie przewraca, siada z powrotem.) Tylko trochę wprawy.

VLADIMIR: Zmęczył się.

POZZO: Kiedyś to tańczył farandolę, skocznego, hucznego, gigę, fandango, a nawet galopkę. Płasał, wybijał hołubce. Teraz już tylko to. Wiecie, jak to nazywa?

ESTRAGON: Śmiercią kozła ofiarnego.

VLADIMIR: Starczym zatwardzeniem.

POZZO: Tańcem sieci. Wyobraża sobie, że zaplątał się w sieć.

VLADIMIR: (mizdrząc się jak esteta): Jest w tym coś...

Lucky chce wrócić do bagaży.

POZZO (jak na konia): Prrr!

Lucky nieruchomieje.

ESTRAGON: Więc jak, nigdy nie odmawia?

POZZO: Już to panu tłumaczę. (Grzebie w kieszeniach.) Chwileczkę. (Grzebie.) Co ja zrobiłem z rozpylaczem? (Grzebie.) A niech to! (Podnosi głowę, wzrok nieprzytomny. Słabo) Zgubiłem spryskiwacz!

ESTRAGON (słabo): Lewe płuco mam bardzo słabe. (Kasze słabiutko. Donośnie) Ale prawe jak dzwon!

POZZO (normalnie): Trudno, obejdę się jakoś. O czym to ja mówiłem?
(Zastanawia się.) Chwileczkę. (Zastanawia się.) A niech to! (Podnosi głowę.)
Pomóżcie mi!

ESTRAGON: Już, już.

VLADIMIR: Zaraz, zaraz.

POZZO: Chwileczkę!

Wszyscy trzej zdejmują jednocześnie kapelusze, przykładają rękę do
czoła, skupiają się wykrzywiając twarze. Długa cisza.

ESTRAGON (tryumfalnie): Mam!

VLADIMIR: Przypomniał sobie.

POZZO (niecierpliwie): No, no?

ESTRAGON: Dlaczego nie stawia bagaży?

VLADIMIR: Ale skąd!

POZZO: Jest pan pewien?

VLADIMIR: Przecież już mówił pan o tym.

POZZO: Mówiłem już wam o tym?

ESTRAGON: Mówił już nam o tym?

VLADIMIR: Zresztą postawił już je.

ESTRAGON (spogląda w stronę Lucky'ego): Fakt. No i co z tego?

VLADIMIR: Skoro postawił bagaże, to raczej niemożliwe, żebyśmy
pytali, dlaczego ich nie stawia.

POZZO: Racja!

ESTRAGON: Ale dlaczego je postawił?

POZZO: No właśnie?

VLADIMIR: Żeby tańczyć.

ESTRAGON: Fakt.

POZZO: Fakt.

Długa cisza. Wkładają kapelusze.

ESTRAGON (wstając): Nic się nie dzieje, nikt nie przychodzi, nikt nie odchodzi, okropność.

VLADIMIR (do Pozza): Niech mu pan powie, żeby pomyślał.

POZZO: Niech mu pan poda kapelusz.

VLADIMIR: Kapelusz?

POZZO: Nie potrafi myśleć bez kapelusza.

VLADIMIR (do Estragona): Podaj mu kapelusz.

ESTRAGON: Ja? Po tym, co mi zrobił? Nigdy!

VLADIMIR: Dobrze, ja mu podam.

Nie rusza się.

ESTRAGON (do Pozza): Niech mu pan powie, żeby sam sobie przyniósł.

POZZO: Lepiej mu podać.

VLADIMIR: Dobrze, ja mu podam.

Podnosi kapelusz i na wyciągniętej ręce podaje go Lucky'emu. Lucky nie rusza się.

POZZO: Musi mu pan włożyć na głowę.

ESTRAGON (do Pozza): Niech mu pan powie, żeby wziął.

POZZO: Lepiej mu włożyć.

VLADIMIR: Dobrze, włożę mu.

Zachodzi ostrożnie Lucky'ego od tyłu, wkłada mu kapelusz na głowę i cofa się natychmiast. Lucky nie

rusza się. Cisza.

ESTRAGON: No, na co czeka?

POZZO: Odsuńcie się. (Vladimir i Estragon odsuwają się od Lucky'ego. Pozzo pociąga sznur. Lucky spogląda na niego.) Myśl, bydlaku! (Pauza. Lucky zaczyna tańczyć.) Stój! (Lucky przestaje tańczyć.) Wio! (Lucky idzie w stronę Pozza.) Tu! (Lucky zatrzymuje się.) Myśl!

Pauza.

LUCKY: Z drugiej strony, jeśli chodzi o...

POZZO: Stój! (Lucky przestaje mówić.) Nazad! (Lucky cofa się.) Tu! (Lucky zatrzymuje się.) Zwrot! (Lucky odwraca się w stronę widowni.) Myśl!

W trakcie monologu Lucky'ego pozostali reagują kolejno, jak następuje:

1. Vladimir i Estragon słuchają uważnie, Pozzo pełen niechęci i niesmaku.

2. Vladimir i Estragon zaczynają coś szeptać między sobą, Pozzo cierpi coraz bardziej.

3. Vladimir i Estragon znów słuchają uważnie, Pozzo coraz bardziej wzburzony zaczyna głośno jęczeć.

4. Vladimir i Estragon zaczynają gwałtownie protestować, Pozzo zrywa się na równe nogi i pociąga za sznur. Ogólny zgiełk i zamieszanie. Lucky ciągnie sznur, zatacza się wykrzykując tekst. Wszyscy trzej rzucają się na Lucky' ego, który szamocząc się wykrzykuje tekst.

LUCKY (monotonnie): Ujmując egzystencję tak jak to zrobiono w wydanych ostatnio pracach Poincona i Wattmanna Boga osobowego plepleplepleple z siwą brodą pleple pozostającego poza przestrzenią i czasem który z wyżyn swojej boskiej apatii swojej boskiej; atambii swojej boskiej afazji kocha nas bardzo z paroma wyjątkami nie wiadomo dlaczego ale o tym później na męki rzuceni w ogień którego ogień płomienie jeśli to jeszcze trochę potrwa obejmą wkrótce obłoki w co on zdaje się wątpić czyli piekło dosięgnie nieba tak niebieskiego wciąż jeszcze i tak spokojnego do dziś tak spokojnego spokojem który choćby zmacony zawsze jest lepszy niż nic ale nie wybiegajmy naprzód z drugiej zaś strony zważywszy że w wyniku badań Testu i Conarda badań nie zakończonych wprowadzie niemniej nagrodzonych już przez Akakakakademię Antropopometrii w Berne-en-Bresse ustalono i to ponad wszelką wątpliwość nie licząc jedynie tej jaką budzi wszelka ludzka działalność że w wyniku badań Testu i Conarda badań nie zakończonych ustalono ustalono ustalono co następuje stępuje stępuje mianowicie że ale nie wybiegajmy naprzód nie wiadomo dlaczego w wyniku prac Poincona i Wattmanna wykazano również niezbitie że uwzględnivszy studia Fartova i Belchera studia nie dokończone nie dokończone nie wiadomo dlaczego oraz Testu i Conarda również nie zakończone wykazano że człowiek w przeciwieństwie do opinii przeciwnej że człowiek Testu i Conarda w Bresse że człowiek krótko mówiąc że człowiek słowem mimo postępu w zaopatrzeniu i w likwidacji odpadów marnieje i usycha a jednocześnie równolegle nie wiadomo dlaczego mimo rozwoju kultury fizycznej i uprawiania sportów takich jak takich jak takich jak tenis piłka nożna biegi

kolarstwo pływanie jeździectwo szybownictwo joga tenis kręgle łyżwiarstwo jazda na wrotkach tenis szybownictwo wszelkie sporty zimowe letnie i jesienne tenis na trawie na parkiecie i na ubitej ziemi szybownictwo tenis hokej na ziemi na morzu i w powietrzu penicylina i surogaty krótko mówiąc powtarzam jednocześnie równolegle maleje nie wiadomo dlaczego mimo tenisa powtarzam szybownictwa golfa tyleż z dziewięcioma co z osiemnastoma dołkami tenisa na lodzie słowem nie wiadomo dlaczego w Seine w Seine-et-Oise w Seine-et-Marne w Marne-et-Oise więc nie wiadomo mianowicie dlaczego jednocześnie równolegle usycha i kurczy się powtarzam Oise Marne słowem czysta strata głowę od śmierci Voltaire'a wynosząca mniej więcej dwa centymetry sto gramów na głowę przeciętnie lekko zaokrąglając czystej wagi netto w Normandii słowem nie wiadomo dlaczego o co w końcu mniejsza takie są fakty z drugiej zaś strony zważywszy co jest o wiele istotniejsze że w świetle doświadczeń co jest o wiele istotniejsze w świetle prowadzonych doświadczeń Steinwega i Petermanna co jest o wiele istotniejsze że w świetle świetle świetle przerwanych doświadczeń Steinwega i Petermanna co jest o wiele istotniejsze widać wyraźnie że na wsi i w górach na wybrzeżach i wzdłuż dróg wodnych i ognistych powietrze jest to samo a ziemia to znaczy powietrze i ziemia wskutek wielkich chłódów powietrze i ziemia są dla kamieni wskutek wielkich chłódów niestety w siódmym wieku ich ery eter ziemia morze są dla kamieni wskutek wielkich głębin wielkich chłódów na morzu na ziemi i w powietrzu powtarzam nie wiadomo dlaczego mimo tenisa takie są fakty nie wiadomo dlaczego powtarzam w dalszym ciągu krótko mówiąc w końcu niestety w dalszym ciągu są dla kamieni ponad wszelką wątpliwość ale nie wybiegajmy naprzód powtarzam głowa jednocześnie równolegle nie wiadomo dlaczego mimo tenisa w dalszym ciągu broda płomień łyż kamienie tak niebieskie tak spokojne niestety głowa głowa głowa głowa w Normandii mimo tenisa przerwane

doświadczenia nie zakończone co ważniejsze kamienie krótko mówiąc powtarzam niestety niestety przerwane nie zakończone głowa głowa w Normandii mimo tenisa głowa niestety kamienie Conarda Conarda... (Zamieszanie. Lucky wydaje kilka okrzyków) Teniś!... Kamienie!... Tak spokojnie!... Conarda!... Nie zakończone!...

POZZO: Kapelusz!

Vladimir ściąga Lucky'emu kapelusz. Lucky milknie i pada. Głęboka cisza. Wszyscy dyszą jak zwycięzcy.

ESTRAGON: Jestem pomszczony.

Vladimir ogląda uważnie kapelusz Lucky'ego, zagląda do środka.

POZZO: Niech mi pan to da! (Wyrywa kapelusz z rąk Vladimira, rzuca go na ziemię i depcze.) Nie będzie już myślał!

VLADIMIR: Ale czy będzie mógł prowadzić?

POZZO: Ja tu prowadzę. (Kopie Lucky'ego.) Wstawaj, bydlaku!

ESTRAGON: Może umarł.

VLADIMIR: Zabije go pan.

POZZO: Wstawaj, ścierwo!

(Pociąga za sznur, Lucky pełźnie kawałek. Do Vladimira i Estragona) Pomóżcie mi.

VLADIMIR: Ale jak?

POZZO: Podnieście go!

Estragon i Vladimir stawiają Lucky'ego na nogi, podtrzymują go chwilę, po czym go puszczają. Lucky znów pada.

ESTRAGON: Robi to naumyślnie.

POZZO: Trzeba go podtrzymać. (Pauza.) No dalej, dalej, podnieście go!

ESTRAGON: Szlag by go trafił!

VLADIMIR: Spróbujmy jeszcze raz.

ESTRAGON: Za kogo on nas bierze?

VLADIMIR: No!

Stawiają Lucky'ego na nogi, podtrzymują go.

POZZO: Nie puszczajcie go! (Vladimir i Estragon chwieją się.) Nie ruszajcie się! (Pozzo bierze walizę i koszyk i niesie je w stronę Lucky'ego.) Trzymajcie go mocno! (Wkłada walizę Lucky'emu do ręki. Lucky natychmiast ją wypuszcza.) Nie puszczajcie go! (Jeszcze raz wkłada walizę Lucky'emu do ręki. Lucky dotykając walizy odzyskuje stopniowo zmysły i wreszcie jego palce zaciskają się na jej uchwycie.) Trzymajcie go cały czas! (To samo z koszykiem.) No, teraz możecie go puścić. (Vladimir i Estragon odsuwają się od Lucky'ego, który potyka się, słania i ugina, ale stoi trzymając walizę i koszyk. Pozzo cofa się, strzela z bata.) Wio! (Lucky postępuje naprzód.) Nazad! (Lucky cofa się.) Zwrot! (Lucky obraca się.) W porządku, może iść. (Zwracając się do Vladimira i Estragona) Dziękuję wam, panowie, i życzę wam... (grzebie w kieszeniach) życzę wam... (grzebie) życzę wam... (grzebie) co ja zrobiłem z zegarkiem? (Grzebie.) A niech to! (Podnosi głowę, przerażenie w oczach.) Autentyczna cebula, panowie, z sekundnikiem. (Prawie łkając) Dziadzius mi ją dał. (Grzebie.) Może leży gdzieś tutaj? (Szuka na ziemi, Vladimir i Estragon również. Pozzo odwraca nogą zniszczony kapelusz Lucky'ego.) Coś podobnego!

VLADIMIR: Może ma pan ją w kamizelce?

POZZO: Chwileczkę. (Zgina się w pół skłaniając głowę do brzucha, nasłuchuje.) Nic nie słyszę! (Przyzywa ich gestem, żeby podeszli.) Chodźcie posłuchać. (Vladimir i Estragon podchodzą, pochylają się nad jego brzuchem. Cisza.) Powinno się chyba słyszeć tik-tak.

VLADIMIR: Cicho!

Wszyscy słuchają zgięci.

ESTRAGON: Coś słyszę.

POZZO: Gdzie?

VLADIMIR: To serce.

POZZO (zawiedziony): Cholera!

VLADIMIR: Cicho!

Słuchają.

ESTRAGON: Może przestał chodzić.

Wyprostowują się.

POZZO: Który z was tak brzydko pachnie?

ESTRAGON: Jemu śmierdzi z ust, a mnie śmierdzą nogi.

POZZO: Muszę już iść.

ESTRAGON: A pana cebula?

POZZO: Zostawiłem ją pewnie we dworze.

ESTRAGON: No to adieu.

POZZO: Adieu.

VLADIMIR: Adieu.

ESTRAGON: Adieu.

Cisza. Nikt się nie rusza.

VLADIMIR: Adieu.

POZZO: Adieu.

ESTRAGON: Adieu.

Cisza.

POZZO: I dziękuję.

VLADIMIR: To my dziękujemy.

POZZO: Nie ma za co.

ESTRAGON: Jest, jest.

POZZO: Nie, nie.

VLADIMIR: Jest, jest.

ESTRAGON: Nie, nie.

Cisza.

POZZO: Jakoś nie mogę... (waha się) odejść.

ESTRAGON: Takie jest życie.

Pozzo odwraca się, odchodzi od Lucky'ego w stronę kulisy ciągnąc za sobą stopniowo sznur.

VLADIMIR: Idzie pan w złą stronę.

POZZO: Muszę mieć rozbieg. (Naprężywszy sznur, to znaczy znalazłszy się za kulisą, zatrzymuje się, odwraca i krzyczy) Odsuńcie się! (Vladimir i Estragon ustępują w głąb, patrzą w stronę Pozza. Trzask bata.) Wio!

Lucky nie rusza się.

ESTRAGON: Wio!

VLADIMIR: Wio!

Trzask bata. Lucky rusza z miejsca.

POZZO: Prędeż! (Wyłania się zza kulisy, przemierza scenę w ślad za Lucky'm. Vladimir i Estragon zdejmują kapelusze i machają na pożegnanie. Lucky wychodzi. Pozzo strzela z bata.) Prędeż! Prędeż! (Tuż przed swoim wyjściem Pozzo zatrzymuje się i odwraca. Sznur napręża się. Odgłos upadku Lucky'ego.) Krzesło! (Vladimir idzie po krzesło, po czym podchodzi do Pozza i podaje mu je, ten z kolei rzuca je w stronę Luck y'ego.) Adieu!

ESTRAGON i VLADIMIR (machając): Adieu! Adieu!

POZZO: Wstawaj, bydlaku! (Odgłos podnoszenia się Lucky'ego.) Wio! (Pozzo wychodzi, Trzask bata.) Wio! Adieu! Prędeż, bydlaku! Wiooo! Adieu!

Cisza.

VLADIMIR: Czas jakoś zleciał.

ESTRAGON: I tak by zleciał.

VLADIMIR: Ale nie tak szybko.

Pauza.

ESTRAGON: Co robimy?

VLADIMIR: Nie wiem.

ESTRAGON: Idziemy.

VLADIMIR: Nie można.

ESTRAGON: Dlaczego?

VLADIMIR: Czekamy na Godota.

ESTRAGON: A, racja.

Pauza.

VLADIMIR: Zmienili się bardzo.

ESTRAGON: Kto?

VLADIMIR: Ci dwaj.

ESTRAGON: O, pogadajmy trochę.

VLADIMIR: Nie uważasz?

ESTRAGON: Że co?

VLADIMIR: No że się zmienili.

ESTRAGON: Całkiem możliwe. Wszyscy się zmieniają. Tylko my jakoś nie możemy.

VLADIMIR: Możliwe! To pewne. Nie widziałeś ich?

ESTRAGON: Widziałem. Ale ja ich nie znam.

VLADIMIR: Owszem, znasz ich.

ESTRAGON: Ale skąd!

VLADIMIR: Mówię ci, znamy ich. Masz słabą pamięć. (Pauza. Do siebie) Chyba że to nie ci sami.

ESTRAGON: Najlepszy dowód, że nas nie poznali.

VLADIMIR: To nie ma żadnego znaczenia. Ja też udałem, że ich nie poznaję. A poza tym nas nigdy nikt nie poznaje.

ESTRAGON: Mniejsza z tym. Trzeba by... Ua! (Vladimir nie reaguje.)
Ua!

VLADIMIR (do siebie): Chyba że to nie ci sami.

ESTRAGON: Didi! Druga noga!

Kuśtyka w stronę kamienia, gdzie siedział na początku.

VLADIMIR: Chyba że to nie ci sami...

GŁOS ZZA KULISY: Proszę pana!

Estragon zatrzymuje się. Obaj patrzą tam, skąd doszedł głos.

ESTRAGON: Znow się zaczyna.

VLADIMIR: Zbliź się, moje dziecko.

Wchodzi Chłopiec, nieufnie. Zatrzymuje się.

CHŁOPIEC: Pan Albert?

VLADIMIR: Tak, to ja.

ESTRAGON: Czego chcesz?

VLADIMIR: Zbliź się.

Chłopiec nie rusza się.

ESTRAGON (ostro): Zbliź się, jak się do ciebie mówi.

Chłopiec zbliża się nieufnie, zatrzymuje się.

VLADIMIR: O co chodzi?

CHŁOPIEC: Pan Godot...

Milknie.

VLADIMIR: Oczywiście. (Pauza.) Zbliź się.

Chłopiec nie rusza się.

ESTRAGON (ostro): Zbliż się, jak się do ciebie mówi! (Chłopiec zbliża się nieufnie, zatrzymuje się.) Dlaczego przychodzisz tak późno?

VLADIMIR: Masz jakąś wiadomość od pana Godota?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: No to mów.

ESTRAGON: Dlaczego przychodzisz tak późno?

Chłopiec spogląda to na jednego, to na drugiego, nie wiedząc, komu odpowiedzieć.

VLADIMIR (do Estragona): Odczep się od niego.

ESTRAGON (do Vladimira): To ty się ode mnie odczep. (Podchodząc do Chłopca) Wiesz, która jest godzina?

CHŁOPIEC (cofając się): To nie moja wina, proszę pana.

ESTRAGON: A czyja, może moja?

CHŁOPIEC: Bałem się, proszę pana,

ESTRAGON: Czego się bałeś? Nas? (Pauza.) Odpowiedz!

VLADIMIR: Wiem już w czym rzecz, tamtych się bał.

ESTRAGON: Jak długo już tu jesteś?

CHŁOPIEC: Już dobrą chwilę, proszę pana.

VLADIMIR: Bata się bałeś?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: Wrzasków?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: Tamtych dwóch panów?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: Znasz ich?

CHŁOPIEC: Nie, proszę pana.

VLADIMIR: Tutejszy jesteś?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

ESTRAGON: To wszystko kłamstwa! (Chwyta Chłopca i potrząsa nim.)
Prawdę nam powiedz!

CHŁOPIEC (trzęsąc się): Mówię prawdę, proszę pana.

VLADIMIR: Zostaw go wreszcie w spokoju! Co się z tobą dzieje?
(Estragon puszcza Chłopca, cofa się, zasłania twarz rękami. Vladimir i Chłopiec patrzą na niego. Estragon opuszcza ręce, twarz ma zmienioną.) Co się z tobą dzieje?

ESTRAGON: Jestem nieszczęśliwy.

VLADIMIR: Nie może być! Od kiedy?

ESTRAGON: Nie pamiętam już.

VLADIMIR: Pamięć płata nam takie figle. (Estragon chce coś powiedzieć, rezygnuje jednak, kuśtyka na swoje miejsce, siada i zaczyna zdejmować but. Do Chłopca) No więc?

CHŁOPIEC: Pan Godot...

VLADIMIR (przerywając): Widziałem cię już kiedyś, nie?

CHŁOPIEC: Nie wiem, proszę pana.

VLADIMIR: Nie znasz mnie?

CHŁOPIEC: Nie, proszę pana.

VLADIMIR: Nie ty przyszedłeś tu wczoraj?

CHŁOPIEC: Nie, proszę pana.

VLADIMIR: Przychodzisz po raz pierwszy?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana,

Cisza.

VLADIMIR: Może i tak. (Pauza.) Mów.

CHŁOPIEC (jednym tchem): Pan Godot powiedział mi, żebym powiedział panu, że dziś wieczór nie przyjdzie, ale na pewno przyjdzie jutro.

Cisza.

VLADIMIR: To wszystko?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

Cisza.

VLADIMIR: Pracujesz dla pana Godota?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: I co robisz?

CHŁOPIEC: Doglądam kóz, proszę pana.

VLADIMIR: Dobry jest dla ciebie?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: Nie bije cię?

CHŁOPIEC: Nie, proszę pana, mnie nie.

VLADIMIR: To kogo bije?

CHŁOPIEC: Biję mego brata, proszę pana.

VLADIMIR: A więc masz brata?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: A co on robi?

CHŁOPIEC: Dogląda owiec, proszę pana.

VLADIMIR: A dlaczego ciebie nie bije?

CHŁOPIEC: Nie wiem, proszę pana.

VLADIMIR: Musi być łaskawy dla ciebie.

CHŁOPIEC: Nie wiem, proszę pana.

Cisza.

VLADIMIR: Wystarczająco cię żywi? (Chłopiec waha się.) Dobrze daje ci jeść?

CHŁOPIEC: Nie najgorzej, proszę pana.

VLADIMIR: Nie jesteś nieszczęśliwy? (Chłopiec waha się.) Słyszysz, co mówię?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: No więc?

CHŁOPIEC: Nie wiem, proszę pana.

VLADIMIR: Nie wiesz, czy jesteś nieszczęśliwy, czy nie?

CHŁOPIEC: Nie, proszę pana.

VLADIMIR: To tak samo jak ja. (Pauza.) A gdzie sypiasz?

CHŁOPIEC: Na strychu, proszę pana.

VLADIMIR: Razem z bratem?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: Na sianie?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

Pauza.

VLADIMIR: W porządku, możesz iść.

CHŁOPIEC: Proszę pana, a co mam powiedzieć panu Godotowi?

VLADIMIR: Powiedz mu... (Waha się.) Powiedz mu, żeś nas widział.
(Pauza.) Widziałeś nas chyba, nie?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

Cofa się, waha, odwraca się i wybiega.

Światło nagle przygasa. W jednej chwili zapada noc. W głębi wschodzi księżyc, wznosi się na niebo, nieruchomieje, zalewając scenę srebrnym światłem.

VLADIMIR: Nareszcie! (Estragon wstaje i trzymając buty, każdy w jednej ręce, idzie w stronę Vladimira. Stawia je na brzegu sceny, wyprostowuje się i patrzy na księżyc.) Co tam robisz?

ESTRAGON: To samo co ty, patrzę na tego bladego...

VLADIMIR: Co?

ESTRAGON: Zmęczonego już tym wschodzeniem i patrzeniem na takich jak my.

VLADIMIR: Pytam, co robisz z butami.

ESTRAGON (odwraca się i patrzy na buty) Zostawiam je tu. (Pauza.)
Przyjdzie ktoś inny, tak samo... tak samo... jak ja, tyle że będzie miał
mniejsze stopy, i uszczęśliwią go.

VLADIMIR: Przecież nie możesz chodzić boso.

ESTRAGON: Jezus chodził.

VLADIMIR: Jezus! Co to ma wspólnego! Nie zamierzasz się chyba z
nim porównywać?

ESTRAGON: Całe życie się z nim porównuję.

VLADIMIR: Ale tam, gdzie on żył, było ciepło, sucho!

ESTRAGON: Tak. I szybko krzyżowali.

Cisza.

VLADIMIR: Nic tu już po nas.

ESTRAGON: Ani gdziekolwiek indziej

VLADIMIR: Ej, Gogo, nie mów tak. Jutro będzie lepiej.

ESTRAGON: A to niby dlaczego?

VLADIMIR: Nie słyszałeś, co powiedział ten chłopak?

ESTRAGON: Nie.

VLADIMIR: Powiedział, że Godot na pewno przyjdzie jutro. (Pauza.)
No, co ty na to?

ESTRAGON: A więc nie pozostaje nam nic innego, jak czekać tu dalej.

VLADIMIR: Coś ty! Musimy się gdzieś schronić. (Bierze Estragona za
rękę.) Chodź.

Ciągnie go. Estragon poddaje się na początku, po czym się opiera.

Zatrzymują się.

ESTRAGON (spoglądając na drzewo): Szkoda, że nie mamy kawałka sznura.

VLADIMIR: Chodź. Zimno się robi.

Ciągnie go. To samo co poprzednio.

ESTRAGON: Przypomnij mi, żebym jutro przyniósł sznur.

VLADIMIR: Dobrze. Chodź.

Ciągnie go. To samo co poprzednio.

ESTRAGON: Jak długo już jesteśmy tak stale razem?

VLADIMIR: Czy ja wiem. Z pięćdziesiąt lat chyba.

ESTRAGON: Pamiętasz dzień, gdy rzuciłem się do Rodanu?

VLADIMIR: W czasie winobrania.

ESTRAGON : Wyłowiliś mnie wtedy.

VLADIMIR: Wszystko to już przebrzmiało, pogrzebane.

ESTRAGON: Ubranie wyschło mi na słońcu.

VLADIMIR: Nie wracajmy do tego. Chodź.

To samo co poprzednio.

ESTRAGON: Zaczekaj.

VLADIMIR: Zimno mi.

ESTRAGON: Zaczekaj! (Odchodzi od Vladimira) Zastanawiam się czasem, czy nie byłoby lepiej, gdyby każdy z nas został sam, sam ze sobą. (Przechodzi przez scenę i siada na swoim kamieniu.) Nie jesteśmy stworzeni

do tej samej drogi.

VLADIMIR (bez urazy) : To wcale nie takie pewne.

ESTRAGON: Tak, nic nie jest pewne.

Vladimir wolno przechodzi przez scenę i siada obok Estragona.

VLADIMIR: Jeśli uważasz, że tak byłoby lepiej, możemy się jeszcze rozstać.

ESTRAGON: Teraz już nie warto.

Cisza.

VLADIMIR: Fakt, teraz już nie warto.

Cisza.

ESTRAGON: To co, idziemy?

VLADIMIR: Chodźmy.

AKT II



Następnego dnia. O tej samej porze. W tym samym miejscu.

Buty Estragona z przodu na brzegu sceny, obcasy zsunięte, czubki rozsunięte. Kapelusz Lucky'ego w tym samym miejscu.

Na drzewie cztery, pięć listków.

Wchodzi Vladimir, energicznie. Zatrzymuje się i długo przygląda się drzewu. Następnie zaczyna gorączkowo chodzić po scenie we wszystkie strony. Zatrzymuje się przed butami, pochyla się, podnosi jeden, przygląda mu się, krzywi się ze wstrętem, odkłada starannie na miejsce. Znów zaczyna chodzić tam i z powrotem. Zatrzymuje się na skraju sceny po prawej i wypatruje czegoś w oddali przysłaniając sobie oczy ręką. Znów chodzi tam i z powrotem. Zatrzymuje się na skraju sceny po lewej, robi to samo co poprzednio. Znów chodzi tam i z powrotem. Nagle zatrzymuje się, składa ręce na piersi, odchyła w tył głowę i zaczyna głośno śpiewać.

VLADIMIR: Raz pies wpadł do...

Zaczawszy zbyt nisko, przerywa, odchrząkuje, zaczyna jeszcze raz nieco wyżej.

Raz piesek wpadł do kuchni

I porwał mięsa ćwierć,

A kucharz, co był głupi,

Zarąbał go na śmierć.

A kucharz, co był mądry

I litość w sercu miał...

Przerywa, zamyśla się, zaczyna jeszcze raz.

A kucharz, co był mądry

I litość w sercu miał,

Postawił mu nagrobek

I taki napis dał:

Raz piesek wpadł do kuchni

I porwał mięsa ćwierć,

A kucharz, co był głupi,

Zarąbał go na śmierć.

A kucharz, co był mądry

I litość w sercu miał...

Przerywa. To samo co poprzednio.

A kucharz, co był mądry

I litość w sercu miał...

Przerywa. To samo co poprzednio. Miętko

I litość w sercu miał...

Milknie, nie rusza się przez chwilę, po czym znów zaczyna gorączkowo chodzić po scenie we wszystkie strony. Znów zatrzymuje się przed drzewem, dalej chodzi tam i z powrotem, znów zatrzymuje się przed butami, dalej chodzi tam i z powrotem, biegnie na skraj sceny po lewej, wypatruje czegoś w oddali, biegnie na skraj sceny po prawej, wypatruje czegoś w oddali. W tym momencie z lewej wchodzi Estragon, boso, z pochyloną głową, i powoli przechodzi przez scenę. Vladimir odwraca się i spostrzega go.

VLADIMIR: Jesteś znów! (Estragon zatrzymuje się, ale nie podnosi głowy. Vladimir idzie ku niemu.) Chodź, niech cię uściskam!

ESTRAGON: Nie dotykaj mnie!

VLADIMIR zawiedziony, zmartwiony. Cisza.

VLADIMIR: Chcesz, żebym sobie poszedł? (Pauza.) Gogo! (Pauza. Vladimir przygląda mu się uważnie.) Pobili cię? (Pauza.) Gogo! (Estragon dalej milczy, z głową pochyloną.) Gdzie spędziłeś noc?

Cisza. Vladimir podchodzi bliżej.

ESTRAGON: Nie dotykaj mnie! Nie pytaj mnie o nic! Nie mów nic do mnie! Zostań ze mną!

VLADIMIR: Opuściłem cię kiedykolwiek?

ESTRAGON: Pozwoliłeś mi odejść.

VLADIMIR: Spójrz na mnie! (Estragon nie rusza się. Dobitnie) Spójrz na mnie, jak ci mówię!

Estragon podnosi głowę. Patrzą długo na siebie, to cofając się, to znów zbliżając się do siebie i pochylając głowy, jakby patrzyli na dzieło sztuki, przyciągając się nawzajem coraz bardziej, aż wreszcie padają sobie nagle w objęcia i klepią się po plecach. Koniec uścisku. Estragon, nie

podtrzymywany, o mało się nie przewraca.

ESTRAGON: Ale dzień!

VLADIMIR: Kto cię pobił? Powiedz mi.

ESTRAGON: Jeszcze jeden dzień odwalony.

VLADIMIR: Jeszcze nie.

ESTRAGON: Dla mnie się już skończył, cokolwiek się zdarzy. (Cisza.)
Słyszałem, jak śpiewałeś.

VLADIMIR: Owszem, pamiętam.

ESTRAGON: Było mi przykro. Jest sam, mówiłem sobie, myśli, że
odszedłem na zawsze, i śpiewa.

VLADIMIR: Nie panuje się nad nastrojem. Cały dzień jestem w świetnej
formie. (Pauza.) W nocy nie wstawałem ani razu!

ESTRAGON (smutno): Sam widzisz, kiedy mnie nie ma, z siusianiem
od razu lepiej.

VLADIMIR: Brakowało mi ciebie... a jednocześnie było mi dobrze.
Dziwne, co?

ESTRAGON (zaskoczony): Dobrze?

VLADIMIR (zastanowiwszy się): No może to nie to słowo.

ESTRAGON: A teraz?

VLADIMIR (zbadawszy samego siebie): Teraz... (radośnie) znowu
jesteś... (obojętnie) znowu jesteśmy... (smutno) znowu jestem.

ESTRAGON: Sam widzisz, gdy jestem z tobą, jest ci gorzej. A ja także
czuję się lepiej sam.

VLADIMIR (dotknięty): No to po co przyłazisz?

ESTRAGON: Nie wiem.

VLADIMIR: A ja wiem. Bo nie umiesz się bronić. Ja nie pozwoliłbym, żeby cię pobili.

ESTRAGON: Nie dałbyś rady.

VLADIMIR: Dlaczego?

ESTRAGON: Ich było dziesięciu.

VLADIMIR: Nie o to mi chodzi, ja nie dopuściłbym, byś w ogóle się naraził.

ESTRAGON: Nic nie zrobiłem.

VLADIMIR: No to dlaczego cię pobili?

ESTRAGON: Nie wiem.

VLADIMIR: Nie, nie, Gogo, widzisz, są rzeczy, które tobie się wymykają, a które nie wymykają się mnie. Musisz to wyczuć.

ESTRAGON: Mówię ci, że nic nie zrobiłem.

VLADIMIR: Może i nie. Ale jeśli się chce wyjść cało, jest na to sposób, jest sposób. No, ale nie mówmy już o tym, Oto jesteś i bardzo mi miło z tego powodu.

ESTRAGON: Ich było dziesięciu.

VLADIMIR: Zresztą tobie, gdzieś tam w głębi, też chyba jest miło, co? Przyznaj się.

ESTRAGON: Miło? Dlaczego?

VLADIMIR: Bo znów jesteś ze mną.

ESTRAGON: Myślisz?

VLADIMIR: Powiedz tak, jeśli to nawet nieprawda.

ESTRAGON: Co mam powiedzieć?

VLADIMIR: Powiedz: Miło mi.

ESTRAGON: Miło mi.

VLADIMIR: Mnie też.

ESTRAGON: Mnie też.

VLADIMIR: Jest nam miło.

ESTRAGON: Jest nam miło. (Cisza.) To co robimy, skoro jest nam miło?

VLADIMIR: Czekamy na Godota.

ESTRAGON: A, racja.

VLADIMIR: Zmieniło się tu od wczoraj.

ESTRAGON: A jeśli nie przyjdzie?

VLADIMIR (nie zrozumiałwszy w pierwszej chwili): Pomyślimy o tym, jak przyjdzie pora. (Pauza.) Mówiłem, że zmieniło się tu od wczoraj.

ESTRAGON: Rozmokło wszystko.

VLADIMIR: Spójrz na drzewo.

ESTRAGON: Nie wchodzi się nigdy dwa razy w to samo gówno.

VLADIMIR: Drzewo, spójrz na drzewo.

Estragon spogląda na drzewo.

ESTRAGON: Nie było go tu wczoraj?

VLADIMIR: Oczywiście, że było. Nie pamiętasz? O małośmy się na nim nie powiesili. (Zastanawia się.) Właśnie... (akcentując każde słowo) o małośmy się nie powiesili. Tylko ty nie chciałeś. Nie pamiętasz?

ESTRAGON: Przyśniło ci się.

VLADIMIR: Czy to możliwe, żebyś już zapomniał?

ESTRAGON: Taki już jestem. Albo zapominam od razu, albo nie zapominam nigdy.

VLADIMIR: A Pozzo i Lucky, o nich też zapomniałeś?

ESTRAGON: Pozzo i Lucky?

VLADIMIR: Wszystko zapomniał!

ESTRAGON: Pamiętam jakiegoś niespełna rozumu, który kopnął mnie w łydkę. A potem zgrywał wariata.

VLADIMIR: To Lucky!

ESTRAGON: Tak, to pamiętam. Ale kiedy to było?

VLADIMIR: A tego drugiego, który go prowadził, też pamiętasz?

ESTRAGON: Dał mi kości.

VLADIMIR: To Pozzo!

ESTRAGON: I mówisz, że to wszystko było wczoraj?

VLADIMIR: Oczywiście, że wczoraj.

ESTRAGON: I tutaj?

VLADIMIR: No a gdzie? Nie poznajesz tego miejsca?

ESTRAGON (z nagłą wściekłością): Czy poznaję! Co tu jest do poznawania? Przez całe wszawe życie nurzałem się w błocie! A ty chcesz,

żebym dostrzegął niuansę! (Rozgląda się wokół.) Popatrz no na to świństwo!
Nigdy się stąd nie ruszałem!

VLADIMIR: Uspokój się, uspokój.

ESTRAGON: To ty mi daj spokój z tymi pejzażami! Mów mi o podziemiu!

VLADIMIR: Mimo wszystko nie powiesz mi jednak, że to (gest) przypomina Vaucluse! Jest jednak duża różnica.

ESTRAGON: Vaucluse! Jakie Vaucluse?

VLADIMIR: Byłeś tam przecież, w Vaucluse.

ESTRAGON: Nic podobnego, nigdy nie byłem w żadnym Vaucluse!
Mówię ci, że przesrałem całe to zasrane życie tutaj! Tutaj! W Srocluse!

VLADIMIR: A jednak byliśmy tam razem, głowę dam za to.
Pracowaliśmy przy winobraniu, u takiego jednego, co się nazywał Bonnelly,
w Roussillon.

ESTRAGON (spokojniej): Może. Nic mi nie świta.

VLADIMIR: Tam, niżej, wszystko było czerwone!

ESTRAGON (rozdrażniony): Mówię ci, że nic mi nie świta.

Cisza. Vladimir wzdycha głęboko.

VLADIMIR: Trudno z tobą żyć, Gogo.

ESTRAGON: Więc najlepiej się rozstać.

VLADIMIR: Wciąż to powtarzasz. I ciągle przyłazisz.

Cisza.

ESTRAGON: Najlepiej byłoby mnie zabić, jak tamtego.

VLADIMIR: Jakiego tamtego? (Pauza.) Jakiego tamtego?

ESTRAGON: Jak biliony tamtych.

VLADIMIR (sentencjonalnie): Każdy nosi swój krzyżyk. (Wzdycha.)
Do śmierci. (Chwila namysłu.) Po czym jest zapomniany.

ESTRAGON: Na razie jednak spróbujmy gadać ze sobą nie denerwując się, skoro już nie możemy być cicho.

VLADIMIR: Fakt, jesteśmy niewyczerpani

ESTRAGON: To po to, żeby nie myśleć.

VLADIMIR: Mamy wytłumaczenie.

ESTRAGON: Po to, żeby nie słyszeć.

VLADIMIR: Mamy swoje powody.

ESTRAGON: Tych wszystkich głosów, co zmarły.

VLADIMIR: Brzmiących jakby szum skrzydeł.

ESTRAGON: Liści.

VLADIMIR: Piasku.

ESTRAGON: Liści.

Cisza.

VLADIMIR: Wszystkie mówią naraz.

ESTRAGON: Każdy sobie.

Cisza.

VLADIMIR: Szepczą raczej.

ESTRAGON: Szeleszczą.

VLADIMIR: Szemrzą.

ESTRAGON: Szeleszczą.

Cisza.

VLADIMIR: Co one mówią?

ESTRAGON: Opowiadają swe życie.

VLADIMIR: Nie wystarcza im, że żyły.

ESTRAGON: Muszą o tym mówić.

VLADIMIR: Nie wystarcza im, że umarły.

ESTRAGON: Nie wystarcza.

Cisza.

VLADIMIR: Jakby szum piór.

ESTRAGON: Liści.

VLADIMIR: Popiołu.

ESTRAGON: Liści.

Długa cisza.

VLADIMIR: Powiedz coś!

ESTRAGON: Próbuję.

Długa cisza.

VLADIMIR (z udręką): Powiedz cokolwiek!

ESTRAGON: Co robimy?

VLADIMIR: Czekamy na Godota?

ESTRAGON: A, racja.

Cisza.

VLADIMIR: Okropność!

ESTRAGON: Zaśpiewaj coś.

VLADIMIR: Nie, nie. (Zastanawia się.) Może by zacząć jeszcze raz.

ESTRAGON: To nie powinno być trudne.

VLADIMIR: Początek jest trudny.

ESTRAGON: Zacząć można od czegokolwiek.

VLADIMIR: Tak, ale trzeba się zdecydować.

ESTRAGON: Fakt.

Cisza.

VLADIMIR: Pomóż mi!

ESTRAGON: Próbuję.

Cisza.

VLADIMIR: Kto szuka, ten słyszy.

ESTRAGON: Tak jest.

VLADIMIR: I to nie pozwala mu znaleźć.

ESTRAGON: Otóż to.

VLADIMIR: Nie pozwala mu myśleć.

ESTRAGON: Niemniej jednak się myśli.

VLADIMIR: Nie, nie, to niemożliwe.

ESTRAGON: O, sprzecajmy się.

VLADIMIR: Niemożliwe.

ESTRAGON: Myślisz?

VLADIMIR: Nie mamy odwagi już myśleć.

ESTRAGON: Więc na co się skarżymy?

VLADIMIR: A myśleć to wcale nie takie złe.

ESTRAGON: No jasne, przecież to już jest to.

VLADIMIR: Jakie to?

ESTRAGON: O, zadawajmy sobie pytania.

VLADIMIR: Co masz na myśli mówiąc: to już jest to?

ESTRAGON: O wiele mniejsze nieszczęściem.

VLADIMIR: No jasne.

ESTRAGON: A więc? Może by się tak uznać za szczęśliwych?

VLADIMIR: Najgorsze, że kiedyś myśleliśmy.

ESTRAGON: Zdarzyło się to nam kiedykolwiek?

VLADIMIR: A skąd te wszystkie trupy?

ESTRAGON: Te szkielety.

VLADIMIR: No skąd?

ESTRAGON: Fakt.

VLADIMIR: Trochę musieliśmy myśleć.

ESTRAGON: Na samym początku.

VLADIMIR: Trupiarnia, trupiarnia.

ESTRAGON: Można nie patrzeć.

VLADIMIR: Nie można nie widzieć.

ESTRAGON: Fakt.

VLADIMIR: Choćby nie wiem co.

ESTRAGON: Co?

VLADIMIR: Choćby nie wiem co.

ESTRAGON: Trzeba się zwrócić ku naturze, zdecydowanie.

VLADIMIR: Próbowaliśmy już.

ESTRAGON: Fakt.

VLADIMIR: Tak, tak, to wcale nie takie złe.

ESTRAGON: Co mianowicie?

VLADIMIR: Że myśleliśmy.

ESTRAGON: No pewnie.

VLADIMIR: Ale skończyliśmy z tym.

ESTRAGON: Co zrobić.

VLADIMIR: Otóż to.

Cisza.

ESTRAGON: Jako drobna utarczka było to całkiem niezłe.

VLADIMIR: Tak, ale teraz trzeba wynaleźć coś innego.

ESTRAGON: Niech no się zastanowię.

Zdejmuje kapelusz, zastanawia się.

VLADIMIR: Niech no się zastanowię. (Zdejmuje kapelusz, zastanawia się. Długa cisza.) A!

Wkładają kapelusze, odprężają się.

ESTRAGON: No?

VLADIMIR: O czym ja mówiłem? Od tego można by ciągnąć dalej.

ESTRAGON: Kiedy?

VLADIMIR: Na samym początku.

ESTRAGON: Na samym początku czego?

VLADIMIR: Dzisiejszego wieczoru. Mówiłem... mówiłem...

ESTRAGON: Żądasz ode mnie zbyt wiele.

VLADIMIR: Zaczekaj... uściskaliśmy się... było nam miło... miło... to co robimy, skoro jest nam miło... czekamy... no właśnie... już już... czekamy... no, skoro jest nam miło... czekamy... no właśnie... aha! O drzewie!

ESTRAGON: O drzewie?

VLADIMIR: Nie pamiętasz?

ESTRAGON: Zmęczony jestem.

VLADIMIR: Spójrz na nie.

Estragon spogląda na drzewo.

ESTRAGON: Nic nie widzę.

VLADIMIR: Wczoraj wieczorem było zupełnie czarne i nagie. Dzisiaj pokryte jest liśćmi.

ESTRAGON: Liśćmi?

VLADIMIR: W ciągu jednej nocy!

ESTRAGON: Widocznie jest wiosna.

VLADIMIR: Ale w ciągu jednej nocy!

ESTRAGON: Nas tu wczoraj nie było, mówię ci. To jedno z twoich urojeń.

VLADIMIR: To gdzie, według ciebie, byliśmy wczoraj?

ESTRAGON: A skąd ja mam wiedzieć? Gdzie indziej. W innej przegródce. Czego jak czego, próżni nie brakuje.

VLADIMIR (pewny swego): Dobrze. Nie było nas tu wczoraj. Wobec tego cośmy wczoraj wieczór robili?

ESTRAGON: Cośmy robili?

VLADIMIR: Spróbuj sobie przypomnieć.

ESTRAGON: Nooo... pewnieśmy gadali.

VLADIMIR (oponowując się): O czym?

ESTRAGON: Nooo... o tym, o owym, o niczym szczególnym. (Z przekonaniem) O właśnie, przypominam sobie, że wczoraj wieczorem nie gadaliśmy o niczym szczególnym. Pół wieku tak już to trwa.

VLADIMIR: Nie przypominasz sobie żadnego faktu, żadnych okoliczności?

ESTRAGON (znużony): Nie męcz mnie, Didi.

VLADIMIR: Słońca? Księżycy? Nic?

ESTRAGON: Pewnie były, jak zawsze.

VLADIMIR: Nie spostrzegłeś niczego niezwykłego?

ESTRAGON: Niestety.

VLADIMIR: A Pozzo? A Lucky?

ESTRAGON: Pozzo?

VLADIMIR: Kości.

ESTRAGON: Ości raczej.

VLADIMIR: Pozzo ci je dał.

ESTRAGON: Nic o tym nie wiem.

VLADIMIR: A kopniak?

ESTRAGON: Kopniak? A tak, skopano mnie.

VLADIMIR: To Lucky.

ESTRAGON: I to wszystko było wczoraj?

VLADIMIR: Pokaż nogę.

ESTRAGON: Którą?

VLADIMIR: Obie. Podciągnij nogawkę. (Estragon stojąc na jednej nodze wyciąga drugą w stronę Vladimira, o mało się nie przewraca. Vladimir ujmuje nogę Estragona. Estragon chwieje się.) Podciągnij nogawkę.

ESTRAGON (kiwając się): Nie mogę.

Vladimir podciąga nogawkę, ogląda nogę, puszcza ją. Estragon o mało się nie przewraca.

VLADIMIR: Drugą. (Estragon podaje tę samą nogę.) Drugą, mówię! (To samo co poprzednio z drugą nogą. Tryumfalnie) Proszę, jest rana? Właśnie robi się zakażenie!

ESTRAGON: No i co z tego?

VLADIMIR: Gdzie masz buty?

ESTRAGON: Wyrzuciłem je chyba.

VLADIMIR: Kiedy?

ESTRAGON: Nie wiem.

VLADIMIR: Dlaczego?

ESTRAGON: Nie pamiętam.

VLADIMIR: Nie, nie, pytam, dlaczego je wyrzuciłeś.

ESTRAGON: Bo mnie uwierały.

VLADIMIR (wskazując na buty): Proszę! (Estragon spogląda na buty.)
Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie wczoraj je zostawiłeś.

Estragon podchodzi do butów, pochyla się, przygląda się im z bliska.

ESTRAGON: To nie moje.

VLADIMIR: Nie twoje!

ESTRAGON: Moje były czarne. A te są brązowe.

VLADIMIR: Jesteś pewien, że twoje były czarne?

ESTRAGON: No, powiedzmy, szare.

VLADIMIR: A te są brązowe? Pokaż.

ESTRAGON (podnosząc jeden but): No, powiedzmy, zielonkawe.

VLADIMIR (podchodząc): Pokaż. (Estragon podaje mu but. Vladimir ogląda go, po czym rzuca ze złością.) A niech to!

ESTRAGON: Widzisz, wszystko to...

VLADIMIR: Widzę, widzę. Widzę, co się stało.

ESTRAGON: Wszystko to...

VLADIMIR: To jasne jak słońce. Ktoś przyszedł, wziął twoje i zostawił swoje.

ESTRAGON: Dlaczego?

VLADIMIR: Nie pasowały mu jego, więc wziął twoje.

ESTRAGON: Ale moje były za małe.

VLADIMIR: Dla ciebie. Dla niego nie.

ESTRAGON (zmęczony się na próżno zrozumieniem tego):
Zmęczony jestem. (Pauza.) Idziemy.

VLADIMIR: Nie można.

ESTRAGON: Dlaczego?

VLADIMIR: Czekamy na Godota.

ESTRAGON: A, racja. (Pauza. Rozpaczliwie) Co robić, co robić?

VLADIMIR; Nie ma nic do zrobienia.

ESTRAGON: Nie mogę już tak dalej.

VLADIMIR: Chcesz rzodkiewkę?

ESTRAGON: Tylko to jest?

VLADIMIR: Są rzodkiewki i rzepy.

ESTRAGON: Marchewki już nie ma?

VLADIMIR: Nie. Zresztą przesadzasz już z tą marchewką.

ESTRAGON: To daj rzodkiewkę. (Vladimir grzebie w kieszeniach

znajdując tylko rzepy, wreszcie wyciąga rzodkiewkę i podaje ją Estragonowi, który przygląda się jej, po czym krzywi się ze wstrętem.) Czarna!

VLADIMIR: Rzodkiewka.

ESTRAGON: Wiesz o tym, że lubię tylko różowe!

VLADIMIR: Nie chcesz?

ESTRAGON: Lubię tylko różowe!

VLADIMIR: To oddaj.

Estragon oddaje mu rzodkiewkę.

ESTRAGON: Poszukam sobie marchewki.

Nie rusza się.

VLADIMIR: To naprawdę staje się bez znaczenia.

ESTRAGON: Jeszcze niezupełnie.

Cisza.

VLADIMIR: Może byś spróbował?

ESTRAGON: Próbowałem już wszystkiego.

VLADIMIR: O buty mi chodzi.

ESTRAGON: Myślisz?

VLADIMIR: Czas zejdzie. (Estragon waha się.) Mówię ci, to będzie pewne urozmaicenie.

ESTRAGON: Odprężenie.

VLADIMIR: Wytchnienie.

ESTRAGON: Odprężenie.

VLADIMIR: Spróbuj.

ESTRAGON: Pomożesz mi?

VLADIMIR: Oczywiście.

ESTRAGON: We dwójkę całkiem nieźle dajemy sobie radę, co, Didi?

VLADIMIR: No pewnie! Spróbujmy najpierw lewy.

ESTRAGON: Zawsze coś wynajdziemy, żeby stworzyć sobie wrażenie istnienia, co, Didi?

VLADIMIR (zniecierpliwiony): Oczywiście, oczywiście, jesteśmy kuglarzami. No, ale róbmy, cośmy postanowili, póki pamiętamy. (Podnosi jeden but.) No, dawaj nogę. (Estragon podchodzi do niego i podnosi nogą.) Drugą, bydlaku! (Estragon podnosi drugą nogę.) Wyżej! (Spleceni ze sobą zataczają się po scenie. Vladimirowi udaje się w końcu włożyć but Estragonowi.) Spróbuj przejść kawałek. (Estragon chodzi.) No jak?

ESTRAGON: Pasuje.

VLADIMIR (wyciągając z kieszeni kawałek sznurka): To sznurujemy.

ESTRAGON (gwałtownie): O nie, nie! Żadnego sznurowania, żadnego sznurowania!

VLADIMIR: Będziesz żałował. Spróbujmy drugi. (To samo co poprzednio.) No jak?

ESTRAGON: Też pasuje.

VLADIMIR: Nie uwierają cię?

ESTRAGON (robi kilka kroków przyciskając stopy): Na razie nie.

VLADIMIR: To możesz je nosić.

ESTRAGON: Jakby trochę za duże.

VLADIMIR: Może któregoś dnia dorobisz się skarpetek.

ESTRAGON: Fakt.

VLADIMIR: Więc będziesz je nosił?

ESTRAGON: Skończmy już z tymi butami.

VLADIMIR: Dobrze, ale...

ESTRAGON: Skończmy! (Cisza.) Usiądę mimo wszystko.

Rozgląda się za miejscem, gdzie mógłby usiąść, po czym siada na kamieniu, gdzie siedział na początku pierwszego aktu.

VLADIMIR: Tu właśnie siedziałeś wczoraj wieczorem.

Cisza.

ESTRAGON: Żebym tylko mógł zasnąć.

VLADIMIR: Wczoraj wieczór zasnąłeś.

ESTRAGON: Spróbuję.

Przybiera pozycję embrionalną, głowę chowając między kolana.

VLADIMIR: Zaczekaj. (Podchodzi do Estragona i zaczyna głośno śpiewać) A-a-a.

ESTRAGON (podnosząc głowę): Nie tak głośno.

VLADIMIR (ciszej): A-a-a

A-a-a

A-a-a

A-a...

Estragon zasypia. Vladimir zdejmuje marynarkę i kładzie ją na ramiona Estragona, po czym zaczyna chodzić wzdłuż i wszerz zabijając rękami, żeby się rozgrzać. Estragon budzi się nagle, zrywa się i idzie półprzytomnie. Vladimir podbiega do niego, obejmuje go.

VLADIMIR: Spokojnie... spokojnie... Didi tu jest... nie bój się.

ESTRAGON: Ach!

VLADIMIR: Już... już... już po wszystkim.

ESTRAGON: Spadałem.

VLADIMIR: Już po wszystkim. Nie myśl o tym.

ESTRAGON: Byłem na...

VLADIMIR: Nie, nie, nic nie mów! Chodź, połazimy trochę.

Bierze Estragona za rękę i chodzi z nim wzdłuż i wszerz, aż Estragon zaczyna się opierać.

ESTRAGON: Starczy już! Zmęczony jestem.

VLADIMIR: Wolisz sterczeć tu i nic nie robić?

ESTRAGON: Tak.

VLADIMIR: Jak chcesz.

Puszcza Estragona, podnosi marynarkę i wkłada ją.

ESTRAGON: Idziemy.

VLADIMIR: Nie można.

ESTRAGON: Dlaczego?

VLADIMIR: Czekamy na Godota.

ESTRAGON: A, racja. (Vladimir znów zaczyna chodzić tam i z powrotem.) Możesz postać chwilę?

VLADIMIR: Zimno mi.

ESTRAGON: Za wcześnieśmy przyszli.

VLADIMIR: Jak zawsze, o zmroku.

ESTRAGON: Ale noc jakoś nie zapada.

VLADIMIR: Spadnie nagle, jak wczoraj.

ESTRAGON: I będzie noc.

VLADIMIR: I będziemy mogli odejść.

ESTRAGON: I znowu będzie dzień. (Pauza. Rozpaczliwie) Co robić, co robić?

VLADIMIR (zatrzymawszy się, gwałtownie): Przystaniesz wreszcie biadolić? Mam już dosyć tych twoich jęków!

ESTRAGON: Idę.

VLADIMIR (spoztrzegając kapelusz Lucky'ego): O!

ESTRAGON: Żegnaj.

VLADIMIR: Kapelusz Lucky'ego! (Podchodzi do niego.) Jestem tu od godziny i nie zauważyłem go dotąd! (Uradowany) Świetnie!

ESTRAGON: Nie zobaczysz mnie już.

VLADIMIR: Wiedziałem, że to jest to miejsce. No, to mamy już spokój. (Podnosi kapelusz Lucky'ego, przygląda mu się, wyprostowuje go.) Piękny kapelusz musiał kiedyś być. (Wkłada go sobie na głowę, swój podając Estragonowi.) Trzymaj.

ESTRAGON: Co?

VLADIMIR: Potrzyj to.

Estragon bierze kapelusz Vladimira. Vladimir dwiema rękami poprawia sobie na głowie kapelusz Lucky'ego. Estragon wkłada sobie na głowę kapelusz Vladimira, swój podając Vladimirowi. Vladimir bierze kapelusz Estragona. Estragon dwoma rękami poprawia sobie na głowie kapelusz Vladimira. Vladimir wkłada sobie na głowę kapelusz Estragona, kapelusz Lucky'ego podając Estragonowi. Estragon bierze kapelusz Lucky'ego. Vladimir dwiema rękami poprawia sobie na głowie kapelusz Estragona. Estragon wkłada sobie na głowę kapelusz Lucky'ego, kapelusz Vladimira podając Vladimirowi. Vladimir bierze swój kapelusz. Estragon dwiema rękami poprawia sobie na głowie kapelusz Lucky'ego, Vladimir wkłada sobie na głowę swój kapelusz, kapelusz Estragona podając Estragonowi. Estragon bierze swój kapelusz. Vladimir dwiema rękami poprawia sobie na głowie swój kapelusz. Estragon wkłada swój kapelusz, kapelusz Lucky'ego podając Vladimirowi. Vladimir bierze kapelusz Lucky'ego. Estragon dwiema rękami poprawia sobie na głowie swój kapelusz. Vladimir wkłada sobie na głowę kapelusz Lucky'ego, swój podając Estragonowi. Estragon bierze kapelusz Vladimira. Vladimir dwiema rękami poprawia sobie na głowie kapelusz Lucky'ego. Estragon podaje kapelusz Vladimira Vladimirowi, Vladimir bierze go i podaje z powrotem Estragonowi, Estragon bierze go i podaje z powrotem Vladimirowi, Vladimir bierze go i rzuca. Wszystko to w bardzo szybkim tempie.

VLADIMIR: Pasuje na mnie?

ESTRAGON: A skąd ja mam wiedzieć?

VLADIMIR: Nie, ale jak w nim wyglądam?

Obraca kokieteryjnie głowę to w prawo, to w lewo, ruszając się jak model.

ESTRAGON: Okropnie.

VLADIMIR: Ale nie gorzej niż zwykle?

ESTRAGON: Tak samo.

VLADIMIR: To mogę go nosić. Mój mnie uwierał. (Pauza.) Jak by to powiedzieć? (Pauza.) Cisnął mnie.

Zdejmuje kapelusz Lucky'ego, zagląda do środka, potrząsa nim, stuka w denko, wkłada z powrotem.

ESTRAGON: Idę.

VLADIMIR: Nie zagrałbyś?

ESTRAGON: W co?

VLADIMIR: Można by zagrać w Pozza i Lucky'ego.

ESTRAGON: Nie znam tego,

VLADIMIR: Ja będę udawał Lucky'ego, a ty Pozza. (Naśladuje Lucky'ego uginając się pod ciężarem bagaży. Estragon patrzy na niego osłupiały.) No!

ESTRAGON: Co mam robić?

VLADIMIR: Wymyślaj mi!

ESTRAGON (po chwili namysłu): Świntuch!

VLADIMIR: Ostrzej!

ESTRAGON: Łajdak! Kanalia!

Vladimir, wciąż uginając się, to posuwa się naprzód, to cofa się.

VLADIMIR: Powiedz mi, żebym myślał.

ESTRAGON: Co?

VLADIMIR: Powiedz: Myśl, świnio!

ESTRAGON: Myśl, świnio!

Cisza.

VLADIMIR: Nie mogę!

ESTRAGON: Starczy już!

VLADIMIR: Powiedz mi, żebym tańczył.

ESTRAGON: Idę.

VLADIMIR: Tańcz, bydlaku! (Kręci się w miejscu. Estragon szybko wychodzi na lewo.) Nie mogę! (Podnosi głowę, spostrzega, że Estragona już nie ma, krzyczy rozdzierająco) Gogo! (Cisza. Rusza prawie biegiem przez scenę. Estragon szybko wraca, zdyszany, biegnie w stronę Vladimira. Padają sobie w ramiona.) Jesteś nareszcie!

ESTRAGON (dyszając): Przeklęty jestem!

VLADIMIR: Gdzie byłeś? Myślałem, że odszedłeś już na zawsze.

ESTRAGON: Na skraju zbocza. Idą!

VLADIMIR: Kto?

ESTRAGON: Nie wiem.

VLADIMIR: Ilu?

ESTRAGON: Nie wiem.

VLADIMIR (tryumfalnie): To Godot! Nareszcie! (Ściska wylewnie Estragona.) Gogo! To Godot! Jesteśmy zbawieni! Chodź, wyjdźmy mu na

spotkanie! (Ciągnie Estragona w stronę kulisy. Estragon opiera się, uwalnia i biegnie w drugą stronę.) Gogo! Wracaj! (Cisza. Vladimir biegnie w stronę kulisy, skąd wrócił przed chwilą Estragon, i patrzy w dal. Estragon szybko wraca, biegnie w stronę Vladimira, który się odwraca,) No, znowu jesteś!

ESTRAGON: Jestem potępiony!

VLADIMIR: Gdzie byłeś?

ESTRAGON: Na skraju zbocza.

VLADIMIR: Jesteśmy zatem na płaskowyżu. Nie ma już wątpliwości, tkwimy na płaskowyżu.

ESTRAGON: Z tej strony też idą!

VLADIMIR: Jesteśmy otoczeni! (Estragon, przerażony, rzuca się na horyzont, zaplątuje się i pada.) Głupcze! Tam nie ma wyjścia. (Vladimir podchodzi do niego, żeby go podnieść, po czym prowadzi go na przód sceny. Wskazując na widownię) Tędy. Tu nie ma nikogo. Uciekaj. Szybko. (Popycha go w stronę widowni. Estragon cofa się przerażony.) Nie chcesz? (Przygląda się widowni.) Rozumiem. Poczekaj, niech no pomyślę. (Zastanawia się.) Nie pozostaje ci nic innego jak zniknąć.

ESTRAGON: Gdzie?

VLADIMIR: Za drzewem. (Estragon waha się.) Szybko! Za drzewo! (Estragon biegnie za drzewo, które słabo go jednak zasłania.) Nie ruszaj się! (Estragon wychodzi zza drzewa.) To drzewo stanowczo do niczego się nie nadaje. (Do Estragona) Czyś ty aby nie zwariował?

ESTRAGON (spokojniej): Straciłem głowę. (Pochyla głowę ze wstydem.) Przepraszam! (Podnosi ją dumnie.) Już się to nie powtórzy. Zobaczysz. Powiedz tylko, co robić.

VLADIMIR: Nie ma nic do zrobienia.

ESTRAGON Chodź, ty staniesz tam. (Ciągnie ku lewej kulisie i ustawia go na osi drogi tyłem do sceny.) O tu, nie ruszaj się stąd i uważaj. (Vladimir patrzy w dal przysłaniając sobie oczy ręką. Estragon biegnie ku prawej kulisie. Zatrzymuje się i też patrzy w dal. Po chwili obaj oglądają się za siebie przez ramię.) Plecy w plecy, jak za dawnych dobrych czasów! (Spoglądają tak na siebie przez chwilę, po czym wracają do obserwacji. Długa cisza.) No, nic nie nadchodzi?

VLADIMIR (ogładając się): Co?

ESTRAGON (głośniej): Nic nie nadchodzi?

VLADIMIR: Nie.

ESTRAGON: U mnie też nie.

Wracają do obserwacji. Długa cisza.

VLADIMIR: Przywidziało ci się coś chyba.

ESTRAGON (ogładając się) Co?

VLADIMIR (głośniej): Przywidziało ci się coś chyba.

ESTRAGON: Nie rycz tak.

Wracają do obserwacji. Długa cisza.

VLADIMIR i ESTRAGON (ogładając się jednocześnie): Czy to nie...

VLADIMIR: O, przepraszam!

ESTRAGON: Mów, mów.

VLADIMIR: Nie, nie, ty pierwszy.

ESTRAGON: Nie, nie, ty pierwszy.

VLADIMIR: Przerwałem ci.

ESTRAGON: Przeciwnie.

Patrzę na siebie ze złością.

VLADIMIR: Bez ceremonii, naprawdę!

ESTRAGON: Naprawdę, bez ceregieli!

VLADIMIR (ostro): Skończ, co chciałeś powiedzieć!

ESTRAGON (tak samo): To ty skończ!

Cisza. Idą na siebie, zatrzymują się.

VLADIMIR: Półgłówek!

ESTRAGON: O, nawymyślajmy sobie.

Odwracają się, rozchodzą się w dwie strony, znów się zwracają ku sobie.

VLADIMIR: Półgłówek!

ESTRAGON: Menda!

VLADIMIR: Wyskrobek!

ESTRAGON: Śmierdziel!

VLADIMIR: Jołop!

ESTRAGON: Zakała!

VLADIMIR: Kretyn!

ESTRAGON (kończąc): Sekrrretarz!

VLADIMIR: Ach!

Pokonany opada z sił i odwraca się.

ESTRAGON: A teraz się pogódźmy.

VLADIMIR: Gogo!

ESTRAGON: Didi!

VLADIMIR: Ręka!

ESTRAGON: Ręka!

VLADIMIR: Pójdź w me ramiona!

ESTRAGON: W ramiona?

VLADIMIR (otwierając ramiona): Do mej piersi!

ESTRAGON: Idę.

Ściskają się. Cisza.

VLADIMIR: Jak czas ucieka, gdy się figluje!

Cisza.

ESTRAGON: Co robimy?

VLADIMIR: Na razie czekamy.

ESTRAGON: Na razie czekamy.

Cisza.

VLADIMIR: Może by trochę poćwiczyć?

ESTRAGON: Naszą sprawność.

VLADIMIR: W giętkości.

ESTRAGON: W odprężaniu się.

VLADIMIR: W rzutkości.

ESTRAGON: W odprężaniu się.

VLADIMIR: Żeby się rozgrzać.

ESTRAGON: Żeby się uspokoić.

VLADIMIR: No to raz, dwa!

Zaczyna skakać. Estragon go naśladuje.

ESTRAGON (zatrzymuje się): Starczy już. Zmęczony jestem.

VLADIMIR (zatrzymując się): Nie jesteśmy w formie. Zróbmy jednak kilka wdechów.

ESTRAGON: Nie mam już chęci oddychać.

VLADIMIR: Masz rację. (Pauza.) Zróbmy jednak drzewo, dla równowagi.

ESTRAGON: Drzewo?

VLADIMIR robi "drzewo" chwiejąc się na jednej nodze.

VLADIMIR (zrobiwszy): Teraz ty.

Estragon robi "drzewo" chwiejąc się na jednej nodze.

ESTRAGON: Myślisz, że Bóg mnie widzi?

VLADIMIR: Trzeba zamknąć oczy.

Estragon zamyka oczy, chwieje się coraz bardziej.

ESTRAGON (przerywając, zaciskając pięści, na cały głos): Boże, zmiłuj się nade mną!

VLADIMIR (dotknięty): A nade mną?

ESTRAGON (jak wyżej): Nade mną! Nade mną! Zlituj się nade mną!

Wchodzą Pozzo i Lucky. Pozzo oślepl. Lucky obładowany jak w pierwszym akcie. Sznur jak poprzednio, tyle że krótszy, żeby Pozzo mógł łatwiej prowadzić. Lucky w nowym kapeluszu. Na widok Vladimira i Estragona zatrzymuje się. Pozzo idąc dalej wpada na Lucky'ego. Vladimir i Estragon cofają się.

VLADIMIR: Gogo!

POZZO (wczepiając się w Lucky'ego, który chwieje się pod tym nowym ciężarem): Co to? Kto to?

Lucky pada upuszczając wszystko i pociągając za sobą Pozza. Leżą bezradnie wśród rozrzuconych bagaży.

ESTRAGON: To Godot?

VLADIMIR: W samą porę. (Idzie w stronę leżących, Estragon za nim.)
Nareszcie jakieś posiłki!

POZZO (bezbarwnie): Na pomoc!

ESTRAGON: To Godot?

VLADIMIR: Zaczynaliśmy już słabnąć. Teraz koniec wieczoru mamy już zapewniony.

POZZO: Na pomoc!

ESTRAGON: Wzywa pomocy.

VLADIMIR: Nie musimy już sami czekać na noc, czekać na Godota, czekać... by czekać. Walczyliśmy cały wieczór zdani wyłącznie na siebie. Teraz mamy to już za sobą. Już jest jutro.

POZZO: Na pomoc!

VLADIMIR: Już czas znowu płynie inaczej. Słońce zajdzie, księżyc

wzejdzie i odejdziemy... stąd.

POZZO: Litości!

VLADIMIR: Biedny Pozzo!

ESTRAGON: Wiedziałem, że to on.

VLADIMIR: Kto?

ESTRAGON: Godot.

VLADIMIR: To wcale nie Godot.

ESTRAGON: Nie Godot?

VLADIMIR: Nie Godot.

ESTRAGON: Więc kto to jest?

VLADIMIR: Pozzo.

POZZO: To ja! To ja! Pomóżcie mi się podnieść!

VLADIMIR: Nie może się podnieść!

ESTRAGON: Idziemy.

VLADIMIR: Nie można.

ESTRAGON: Dlaczego?

VLADIMIR: Czekamy na Godota.

ESTRAGON: A, racja.

VLADIMIR: Może znów da ci kości.

ESTRAGON: Kości?

VLADIMIR: Kurczaka. Nie pamiętasz?

ESTRAGON: To on?

VLADIMIR: Tak.

ESTRAGON: Zapytaj go.

VLADIMIR: Trzeba by najpierw mu pomóc.

ESTRAGON: W czym?

VLADIMIR: Podnieść się.

ESTRAGON: Nie może się podnieść?

VLADIMIR: Chce się podnieść.

ESTRAGON: No to niech się podniesie.

VLADIMIR: Nie może.

ESTRAGON: A co mu jest?

VLADIMIR: Nie wiem.

Pozzo wije się, jęczy, bije pięściami w ziemię.

ESTRAGON: Najpierw trzeba go spytać o kości. Jeżeli odmówi, to zostawiamy go tak.

VLADIMIR: Mówisz, że zdany jest na naszą łaskę?

ESTRAGON: A jak!

VLADIMIR: I że wyświadczenie przysługi powinniśmy uzależnić od spełnienia pewnych warunków?

ESTRAGON: A jak!

VLADIMIR: Sprytne, rzeczywiście. Tylko obawiam się jednego.

ESTRAGON: Czego?

VLADIMIR: Żeby Lucky się nagle nie rozbuchał. Bylibyśmy wtedy udupieni.

ESTRAGON: Lucky?

VLADIMIR: Ten, co zaatakował cię wczoraj.

ESTRAGON: Mówię ci, że ich było dziesięciu.

VLADIMIR: Ale wcześniej, ten, co cię kopnął.

ESTRAGON: To on tu jest?

VLADIMIR: Nie widzisz? (Wskazuje na Lucky'ego.) Na razie jest bezwładny. Ale w każdej chwili może dostać amoku.

ESTRAGON: A gdyby go tak sprać we dwóch?

VLADIMIR: Mówisz, żeby go dopaść teraz, gdy śpi?

ESTRAGON: A jak!

VLADIMIR: Niezła myśl. Ale czy jesteśmy zdolni do tego? I czy on na pewno śpi? (Pauza.) Nie, lepiej jednak skorzystać z tego, że Pozzo wzywa pomocy...

POZZO: Na pomoc!

VLADIMIR: I pomóc mu...

ESTRAGON: My — jemu?

VLADIMIR: Licząc, że się odwdzięczy.

ESTRAGON: Ale on już...

VLADIMIR: Nie traćmy czasu na próżne gadanie. (Pauza. Z siłą) Zróbmy coś, gdy się nadarza okazja! Nie co dzień jesteśmy potrzebni. Choć prawdę mówiąc, potrzebni to wcale nie jesteśmy akurat my. Inni nadaliby się

tak samo, o ile nawet nie lepiej. To, cośmy usłyszeli, było skierowane do całej ludzkości. Ale w tym miejscu i w danym momencie ludzkość cała to my, czy nam się podoba, czy nie. Korzystajmy więc z tego, póki nie jest za późno. Raz przynajmniej bądźmy godną reprezentacją gatunku, do którego mamy nieszczęście należeć. Co o tym powiesz? (Estragon nic nie mówi.) Istotnie, już sam fakt, że rozważamy te wszystkie za i przeciw z założonymi rękami, przynosi zaszczyt naszemu plemieniu. Tygrys rzuca się na pomoc swoim pobratymcom bez najmniejszego zastanowienia. Albo ucieka chyłkiem w najgłębsze zarośla. Ale nie w tym rzecz. Rzecz w tym, co tutaj robimy. I oto mamy szansę dowiedzieć się tego. Tak, w tym niezmiernym chaosie jedno jest jasne: czekamy, aż przyjdzie Godot...

ESTRAGON: A, racja.

POZZO: Na pomoc!

VLADIMIR: Albo aż noc zapadnie. (Pauza.) Jesteśmy, gdzieśmy się umówili, kropka. Nie jesteśmy świętymi, a jednak jesteśmy, gdzieśmy się umówili. Ilu ludzi może się czymś takim poszczycić?

ESTRAGON: Miliardy.

VLADIMIR: Myślisz?

ESTRAGON: Nie wiem.

VLADIMIR: Może i tak.

POZZO: Na pomoc!

VLADIMIR: Pewne jest, że w tych warunkach czas się dłuży i zmusza nas, byśmy zapełniali go sobie zajęciami, które... jak by to powiedzieć... które z początku wydają się sensowne, póki nie stają się nawykiem. Powiesz mi, że chroni to nasz rozum przed obłędem. Z pewnością. Ale zastanawiam

się czasem, czy i tak nie błądzi on już w przepastnych głębinach, gdzie nieprzerwanie trwa noc. Rozumiesz, o co mi chodzi?

ESTRAGON: Wszyscy rodzimy się szaleni. Niektórzy już tacy pozostają.

POZZO: Na pomoc! Zapłacę wam!

ESTRAGON: Ile?

POZZO: Stówę.

ESTRAGON: Mało.

VLADIMIR: Nie posunąłbym się aż tak daleko.

ESTRAGON: Uważasz, że to wystarczy?

VLADIMIR: Nie, chodzi mi o to, że nie byłbym skłonny twierdzić, że już przychodząc na świat byłem niespełna rozumu. Ale nie w tym rzecz.

POZZO: Dwieście!

VLADIMIR: Czekamy. Nudzimy się. (Podnosi rękę.) Nie, nie mów, że nie, nudzimy się śmiertelnie, temu się nie da zaprzeczyć. Dobrze. Nadarza się rozrywka, a my co? Marnujemy ją. Do dzieła, chodź! (Idzie w stronę Pozza, zatrzymuje się w pół kroku.) Za chwilę wszystko zniknie i znów zostaniemy sami w tej próżni.

Zamyśla się.

POZZO: Dwieście!

VLADIMIR: Już, już.

Próbuje podnieść Pozza, nie udaje mu się to, próbuje jeszcze raz, potyka się o bagaże, przewraca się, sam próbuje się podnieść, nie udaje mu się to.

ESTRAGON: Co się z wami dzieje?

VLADIMIR: Na pomoc!

ESTRAGON: Idę.

VLADIMIR: Nie zostawiaj mnie! Oni mnie zabiją!

POZZO: Gdzie ja jestem?

VLADIMIR: Gogo!

POZZO: Na pomoc!

VLADIMIR: Pomóż mi!

ESTRAGON: Ja — idę.

VLADIMIR: Najpierw mi pomóż. Potem pójdziemy razem.

ESTRAGON: Obiecujesz?

VLADIMIR: Przysięgam!

ESTRAGON: I nie przyjdziemy tu już?

VLADIMIR: Nigdy!

ESTRAGON: Pójdziemy w Pireneje.

VLADIMIR: Gdzie tylko zechcesz.

POZZO: Trzysta! Czteryście!

ESTRAGON: Zawsze chciałem powłóczyć się po Pirenejach.

VLADIMIR: Będziesz się tam włóczył.

ESTRAGON (cofając się): Kto się zesrał?

VLADIMIR: Pozzo.

POZZO: Ja! Ja! Litości!

ESTRAGON: Obrzydliwe.

VLADIMIR: Szybko! Podaj mi rękę!

ESTRAGON: Idę. (Pauza. Głośniej) Idę.

VLADIMIR: Ostatecznie sam sobie poradzę i wstanę w końcu. (Próbuje się podnieść, pada.) Prędeż czy później.

ESTRAGON: Co się z tobą dzieje?

VLADIMIR: Idź do diabła!

ESTRAGON: Zostajesz tu?

VLADIMIR: Na razie tak.

ESTRAGON: Wstawaj, coś ty, przeziębisz się.

VLADIMIR: Odczep się ode mnie.

ESTRAGON: No, Didi, nie upieraj się tak. (Podaje Vladimirowi rękę, którą ten chwyta czym prędeż.) No, wstawaj!

VLADIMIR: Ciągnij!

Estragon ciągnie, potyka się, pada. Długa cisza.

POZZO: Na pomoc!

VLADIMIR: Jesteśmy.

POZZO: Kim jesteście?

VLADIMIR: Ludźmi.

Cisza.

ESTRAGON: Przyjemnie tak na ziemi!

VLADIMIR: Możesz się podnieść?

ESTRAGON: Nie wiem.

VLADIMIR: Spróbuj.

ESTRAGON: Zaraz, zaraz.

Cisza.

POZZO: Co się stało?

VLADIMIR (ostro): Zamkniesz ty się wreszcie! Cholero jedna! Myśli tylko o sobie.

ESTRAGON: Może by się tak przespać?

VLADIMIR: Słyszałeś go? Chce wiedzieć, co się stało!

ESTRAGON: Zostaw go. Śpij.

Cisza.

POZZO: Litości! Litości!

ESTRAGON (ocknąwszy się): Co? O co chodzi?

VLADIMIR: Spałeś?

ESTRAGON: Chyba tak.

VLADIMIR: To znów ten przekłety Pozzo.

ESTRAGON: Powiedz mu, żeby się zamknął! Daj mu w łeb!

VLADIMIR (uderzając Pozza): Zamkniesz się wreszcie? Ty mendo!
(Pozzo uwalnia się krzycząc z bólu i czołgając odsuwa się kawałek. Od czasu do czasu przystaje wykonując gesty ślepego, przyzywające Lucky'ego. Vladimir wsparty na łokciu odprowadza go wzrokiem.) Zwiął! (Pozzo opada na ziemię. Cisza.) Padł!

Cisza.

ESTRAGON: Co robimy?

VLADIMIR: Może by się podczołgać do niego.

ESTRAGON: Nie zostawiaj mnie!

VLADIMIR: Albo zawołać go.

ESTRAGON: Tak, tak, zawołaj.

VLADIMIR: Pozzo! (Pauza.) Pozzo! (Pauza.) Nie odpowiada.

ESTRAGON: Spróbujmy razem.

VLADIMIR i ESTRAGON: Pozzo! Pozzo!

VLADIMIR: Drgnął.

ESTRAGON: Jesteś pewien, że on się nazywa Pozzo?

VLADIMIR (zaniepokojony): Panie Pozzo! Niech pan wraca! Nic się panu złego nie stanie!

Cisza.

ESTRAGON: Może by spróbować innych nazwisk.

VLADIMIR: Obawiam się, że dostało mu się za mocno.

ESTRAGON: Byłoby to zabawne.

VLADIMIR: Co byłoby zabawne?

ESTRAGON: Próbować po kolei innych nazwisk. Zajęłoby to trochę czasu. W końcu byśmy utrafili.

VLADIMIR: Mówię ci, że nazywa się Pozzo.

ESTRAGON: Przekonamy się zaraz. (Zastanawia się.) Abel! Abel!

POZZO: Na pomoc!

ESTRAGON: Proszę bardzo!

VLADIMIR: Przestaje mnie to już bawić.

ESTRAGON: Może drugi nazywa się Kain. (Woła) Kain! Kain!

POZZO: Na pomoc!

ESTRAGON: To cała ludzkość. (Cisza.) Spójrz no na tę chmurkę.

VLADIMIR (podnosząc oczy): Gdzie?

ESTRAGON: Tam, w zenicie.

VLADIMIR: No i co? (Pauza.) Co w tym takiego nadzwyczajnego?

Cisza.

ESTRAGON: Zajmijmy się czymś innym, co?

VLADIMIR: Właśnie chciałem ci to zaproponować.

ESTRAGON: Ale czym?

VLADIMIR: Ba!

Cisza.

ESTRAGON: Może by tak wstać na początek?

VLADIMIR: Spróbować nie zaszkodzi.

Wstają.

ESTRAGON: Dziecinnie łatwe.

VLADIMIR: Trzeba tylko chcieć.

ESTRAGON: I co teraz?

POZZO: Na pomoc!

ESTRAGON: Idziemy.

VLADIMIR: Nie można.

ESTRAGON: Dlaczego?

VLADIMIR: Czekamy na Godota.

ESTRAGON: A, racja. (Pauza.) Co robić? Co robić?

POZZO: Na pomoc!

VLADIMIR: Może by mu pomóc?

ESTRAGON: A czego mu potrzeba?

VLADIMIR: Chce się podnieść.

ESTRAGON: No to niech się podnosi.

VLADIMIR: Chce, żebyśmy mu pomogli.

ESTRAGON: No to pomagajmy. Na co czekamy?

Pomagają mu wstać, odsuwają się od niego. Pozzo znów pada.

VLADIMIR: Trzeba go podtrzymać. (Znów go podnoszą. Pozzo stoi między nimi, ramionami obejmując ich za szyję.) Musi się znów przyzwyczaić do postawy pionowej. (Do Pozza) No jak, lepiej?

POZZO: Kim jesteście?

VLADIMIR: Nie poznaje nas pan?

POZZO: Jestem ślepy.

Cisza.

ESTRAGON: Może jest jasnowidzem?

VLADIMIR (do Pozza): Od kiedy?

POZZO: Miałem kiedyś świetny wzrok., ale czy jesteście przyjaciółmi?

ESTRAGON (śmiejąc się głośno): On się pyta, czy jesteśmy przyjaciółmi!

VLADIMIR: Nie, chodzi mu o to, czy jesteśmy jego przyjaciółmi.

ESTRAGON: No?

VLADIMIR: Najlepszy dowód, żeśmy mu pomogli.

ESTRAGON: Rzeczywiście. A pomoglibyśmy mu, gdybyśmy nie byli jego przyjaciółmi?

VLADIMIR: Kto wie.

ESTRAGON: Na pewno.

VLADIMIR: Nie spierajmy się o głupstwa.

POZZO: Nie jesteście zbójcami?

ESTRAGON: Zbójcami! Czy my wyglądamy na zbójców?

VLADIMIR: Przecież on jest ślepy.

ESTRAGON: A, rzeczywiście! (Pauza.) No, niech mówi.

POZZO: Nie zostawiajcie mnie.

VLADIMIR: Nie ma obawy.

ESTRAGON: Na razie.

POZZO: Która godzina?

ESTRAGON (spoglądając w niebo): Jakaś...

VLADIMIR: Siódma... ósma...

ESTRAGON: To zależy od pory roku.

POZZO: Jest wieczór?

Cisza. Vladimir i Estragon patrzą na zachód.

ESTRAGON: Jakby wschód.

VLADIMIR: Coś ty, to niemożliwe.

ESTRAGON: Może jednak świt?

VLADIMIR: Nie opowiadaj głupstw. Tam jest zachód.

ESTRAGON: Skąd wiesz?

POZZO (z udręką): Jest wieczór?

VLADIMIR: Zresztą ani drgnie.

ESTRAGON: Mówię ci, że wschodzi.

POZZO: Dlaczego nie odpowiadacie?

ESTRAGON: Nie chcielibyśmy wprowadzić pana w błąd.

VLADIMIR (uspokajająco): Jest wieczór, proszę pana, dobrnęliśmy do wieczoru. Mój przyjaciel próbuje to kwestionować i muszę przyznać, że straciłem nawet na chwilę pewność. Nie na darmo jednak przeżyłem ten długi dzień i mogę zapewnić pana, że kończy on już swój repertuar. (Pauza.) No a jak się pan czuje?

ESTRAGON: Ile jeszcze mamy go targać? (Puszczają częściowo Pozza, po czym zaraz znów go chwytają widząc, że od razu się przewraca.) Nie jesteście kariatydami.

VLADIMIR: Więc powiada pan, że kiedyś miał pan świetny wzrok, o ile dobrze słyszałem.

POZZO: Świetny! Doskonały!

Cisza.

ESTRAGON (rozdrażniony): No, niech pan ciągnie! Niech pan ciągnie!

VLADIMIR: Daj mu spokój. Nie widzisz, że rozpamiętuje właśnie swoje szczęście. (Pauza.) Memoria praeteritorum bonorum — to musi być przykre.

POZZO: Świetny! Doskonały!

VLADIMIR: I tak nagle pana wzięło?

POZZO: Doskonały!

VLADIMIR: Pytam, czy wzięło pana tak nagle.

POZZO: Pewnego pięknego dnia obudziłem się ślepy jak los. (Pauza.) Zastanawiam się czasem, czy aby nie śpię dalej.

VLADIMIR: Kiedy to było?

POZZO: Nie wiem.

VLADIMIR: Ale nie dalej niż wczoraj...

POZZO (gwałtownie): Niech mnie pan nie pyta! Ślepi nie mają poczucia czasu. (Pauza.) Czasu też nie widzą.

VLADIMIR: Niebywałe! Głowę bym dał, że jest odwrotnie.

ESTRAGON: Idę.

POZZO: Gdzie my jesteśmy?

VLADIMIR: Trudno mi panu powiedzieć.

POZZO: Czy aby nie w miejscu zwanym Deską?

VLADIMIR: Nie znam takiego miejsca.

POZZO: Jak wygląda?

VLADIMIR (rozglądając się wokół): Nie da się tego opisać. Nijak. Nie ma tu nic. Jakieś drzewo.

POZZO: W takim razie to nie Deska.

ESTRAGON (przekrzywiając się): Drobne urozmaicenie.

POZZO: Gdzie jest mój sługa?

VLADIMIR: Jest tu gdzieś.

POZZO: Dlaczego nie odpowiada, gdy go wzywam?

VLADIMIR: Nie wiem. Wygląda, jakby spał. Może umarł.

POZZO: Co się właściwie stało?

ESTRAGON: Właściwie!

VLADIMIR: Upadliście.

POZZO: Zobaczcie, czy jest ranny.

VLADIMIR: Nie możemy zostawić pana.

POZZO: Nie musicie iść obaj.

VLADIMIR (do Estragona): Idź ty:

ESTRAGON: Po tym, co mi zrobił? Za nic.

POZZO: Tak, tak, niech idzie pana przyjaciel, strasznie śmierdzi.
(Pauza.) Na co on czeka?

VLADIMIR (do Estragona): No, na co czekasz?

ESTRAGON: Czekam na Godota.

Cisza

VLADIMIR: Co on właściwie ma zrobić?

POZZO: Niech najpierw pociągnie za sznur uważając, rzecz jasna, żeby go nie udusić. Zazwyczaj reaguje na to. Gdyby jednak nie reagował, niech kopie go, ile się da, w podbrzusze i w twarz.

VLADIMIR (do Estragona): No widzisz, nie ma się czego bać. To nawet okazja, żeby wziąć odwet.

ESTRAGON: A jak się będzie bronił?

POZZO: Nie, nie, on się nigdy nie broni.

VLADIMIR: Pośpieszę ci z pomocą.

ESTRAGON: Nie spuszczaaj mnie z oczu!

Idzie w stronę Lucky'ego.

VLADIMIR: Najpierw sprawdź, czy żyje. Bo jeśli umarł, to nie warto się wysilać.

ESTRAGON (pochyliwszy się nad Luckym): Oddycha.

VLADIMIR: No to ładuj mu!

Estragon z nagłą wściekłością zaczyna kopać Lucky'ego pokrzykując. Ale stukłszy sobie nogę, odchodzi kuśtykając i jęcząc. Lucky odzyskuje przytomność.

ESTRAGON (stając na jednej nodze): Ty byku!

Estragon siada na swoim kamieniu, próbuje zdjąć buty. Wkrótce jednak rezygnuje z tego i układa się do snu, ramionami obejmując kolana, głowę chowając w ramiona.

POZZO: Co się znów stało?

VLADIMIR: Mój przyjaciel zrobił sobie krzywdę.

POZZO: A co z Luckym?

VLADIMIR: A więc to on?

POZZO: Co?

VLADIMIR: To Lucky?

POZZO: Nie rozumiem.

VLADIMIR: A pan... a pan to Pozzo?

POZZO: No pewnie, że jestem Pozzo.

VLADIMIR: Ci sami co wczoraj?

POZZO: Wczoraj?

VLADIMIR: Widzieliśmy się wczoraj. (Cisza.) Nie pamięta pan?

POZZO: Nie przypominam sobie, żebym kogokolwiek wczoraj spotkał. Ale jutro nie będę pamiętał, że kogokolwiek spotkałem dziś. Więc niech pan nie liczy, że się pan dowie czegoś ode mnie.

VLADIMIR: Ale...

POZZO: Dosyć! Wstawaj, bydlaku!

VLADIMIR: Prowadził go pan na targ Zbawiciela, żeby go sprzedać. Rozmawiał pan z nami. On tańczył. Myślał. Pan nie był ślepy.

POZZO: Niech panu będzie. I niech mi pan da już spokój! (Vladimir odchodzi.) Wstawaj!

VLADIMIR: Wstaje.

Lucky podnosi się, zbiera bagaże.

POZZO: Bardzo dobrze.

VLADIMIR: Dokąd pan teraz idzie?

POZZO: Przed siebie.

VLADIMIR: Zmienił się pan!

Lucky, obładowany bagażami, ustawia się przed Pozzem.

POZZO: Bat! (Lucky stawia bagaże, szuka bata, znajduje go, podchodzi do Pozza, podaje mu bat, podnosi bagaże.) Sznur!

Lucky stawia bagaże, koniec sznura wkłada w rękę Pozza, podnosi bagaże.

VLADIMIR: Co jest w tej walizce?

POZZO: Piasek. (Pociąga za sznur.) Wio!

Lucky zatacza się. Pozz o za nim.

VLADIMIR: Niech pan nie odchodzi jeszcze.

POZZO (zatrzymując się): Odchodzę.

VLADIMIR: A co pan zrobi, jak upadnie pan tam, gdzie nikt panu nie pomoże?

POZZO: Poczekamy, aż sami będziemy mogli się podnieść. Wtedy ruszymy dalej.

VLADIMIR: Zanim odejdzie pan, niech mu pan jeszcze powie, żeby zaśpiewał.

POZZO: Komu?

VLADIMIR: Lucky'emu.

POZZO: Żeby zaśpiewał?

VLADIMIR: Tak. Albo pomyślał. Albo zadeklamował.

POZZO: Przecież on jest niemy.

VLADIMIR: Niemy!

POZZO: Absolutnie. Nie może nawet jęczeć.

VLADIMIR: Niemy! Od kiedy?

POZZO (rozwścieczony nagle): Przestanie mnie pan wreszcie zamęczać tym przeklętym czasem? To obłędne! Kiedy! Kiedy! Któregoś dnia, nie wystarczy to panu, któregoś dnia takiego jak inne oniemiał, któregoś dnia ja oślepiłem, któregoś dnia staniemy się głusi, któregoś dnia urodziliśmy się, któregoś dnia umrzemy, tego samego dnia, w tej samej chwili, nie wystarczy to panu? (Spokojniej) One rodzą okrakiem na grobie, światło świeci przez chwilę, a potem znów noc, znów noc. (Pociąga za sznur.) Wio!

Wychodzą. Vladimir idzie za nimi aż na skraj sceny, patrzy, jak się oddalają. Odgłos upadku połączony z mimiką Vladimira wskazuje, że znowu się przewrócili. Cisza. Vladimir idzie w stronę śpiącego Estragona, przez chwilę przygląda mu się, po czym zaczyna go budzić.

ESTRAGON (ruchy nieprzytomne, coś mamrocze bez związku. Wreszcie): Dlaczego nigdy nie dajesz mi spać?

VLADIMIR: Czułem się samotny.

ESTRAGON: Śniło mi się, że byłem szczęśliwy.

VLADIMIR: W ten sposób czas ci zleciał.

ESTRAGON: Śniło mi się...

VLADIMIR: Przestań! (Cisza.) Zastanawiam się, czy on naprawdę jest ślepy.

ESTRAGON: Kto?

VLADIMIR: Czy prawdziwie ślepy powiedziałby, że nie ma poczucia czasu?

ESTRAGON: Kto?

VLADIMIR: Pozzo.

ESTRAGON: To on jest ślepy?

VLADIMIR: Tak nam powiedział.

ESTRAGON: No więc?

VLADIMIR: Wydawało mi się, że nas widział.

ESTRAGON: Przyśniło ci się. (Pauza.) Idziemy. Nie można. A, racja. (Pauza.) Jesteś pewien, że to nie był on?

VLADIMIR: Kto?

ESTRAGON: Godot.

VLADIMIR: Kto taki?

ESTRAGON: Pozzo.

VLADIMIR: Skąd! (Mniej pewnie) Skąd! (Jeszcze niepewniej) Skąd!

ESTRAGON: Zdołam się chyba podnieść. (Wstaje z trudem.) Ua!

VLADIMIR: Nie wiem już, co myśleć.

ESTRAGON: Moje nogi! (Siada z powrotem, próbuje zdjąć buty.) Pomóż mi!

VLADIMIR: Spałem, gdy inni cierpieli? Teraz też śpię? Jutro, gdy zbudzę się lub wyda mi się, że się zbudziłem, co powiem o tym dniu? Że z moim przyjacielem, Estragonem, tu, w tym miejscu, aż zapadła noc,

czekałem na Godota? Że Pozzo przeszedł z tragarzem i że rozmawiał z nami? Zapewne. Ale co będzie prawdą w tym wszystkim? (Estragon, nie uporawszy się z butami, znów zasypia. Vladimir patrzy na niego.) On nic nie będzie wiedział. Powie, że oberwał i żeby mu dać marchewkę. (Pauza.) Okrakiem na grobie i trudny poród. Grabarz z głębi dołu zakłada opieszale kleszcze. Jest czas, żeby się zestarzeć. Powietrze pełne jest naszych krzyków. (Nasłuchuje.) Ale przyzwyczajenie wspaniale tłumi. (Znów patrzy na Estragona.) Na mnie też patrzy ktoś mówiąc sobie: Śpi, nic nie wie, niech dalej śpi. (Pauza.) Nie mogę już! (Pauza.) O czym to ja mówiłem?

Chodzi gorączkowo tam i z powrotem, zatrzymuje się w końcu przed lewą kulisą i wypatruje czegoś w oddali. Z prawej wchodzi Chłopiec, ten sam, co poprzednio. Zatrzymuje się. Cisza.

CHŁOPIEC: Proszę pana... (Vladimir odwraca się.) Pan Albert?...

VLADIMIR: Znów się zaczyna. (Pauza. Do Chłopca) Nie poznajesz mnie?

CHŁOPIEC: Nie, proszę pana.

VLADIMIR: Nie ty przyszedłeś tu wczoraj?

CHŁOPIEC: Nie, proszę pana.

VLADIMIR: Przychodzisz po raz pierwszy?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

Cisza.

VLADIMIR: Masz jakąś wiadomość od pana Godota?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: Nie przyjdzie dziś wieczór.

CHŁOPIEC: Nie, proszę pana.

VLADIMIR: Ale przyjdzie jutro.

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: Na pewno.

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

Cisza.

VLADIMIR: Spotkałeś kogoś?

CHŁOPIEC: Nie, proszę pana.

VLADIMIR: Tamtych dwóch... (waha się) ludzi.

CHŁOPIEC: Nikogo nie widziałem, proszę pana.

Cisza.

VLADIMIR: Co robi pan Godot? (Pauza.) Słyszysz, co mówię?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: No więc?

CHŁOPIEC: Nic nie robi, proszę pana.

Cisza.

VLADIMIR: Jak się ma twój brat?

CHŁOPIEC: Jest chory, proszę pana.

VLADIMIR: Pewnie on przyszedł tu wczoraj.

CHŁOPIEC: Nie wiem, proszę pana.

Cisza.

VLADIMIR (łagodniej: Pan Godot ma brodę?

CHŁOPIEC: Tak, proszę pana.

VLADIMIR: Białą czy... (waha się) czarną?

CHŁOPIEC (wahając się): Zdaje mi się, że siwą, proszę pana.

Cisza.

VLADIMIR: Chryste, zmiłuj się nad nami!

Cisza.

CHŁOPIEC: Proszę, pana, co mam powiedzieć panu Godotowi?

VLADIMIR: Powiedz mu... (waha się) powiedz mu, żeś mnie widział i że... (zastanawia się) i że widziałeś mnie. (Pauza. Vladimir posuwa się naprzód, Chłopiec cofa się, Vladimir zatrzymuje się, Chłopiec zatrzymuje się. Z nagłą gwałtownością) Jesteś pewien, żeś mnie widział? Nie przyjdiesz i nie powiesz mi jutro, żeś mnie nigdy nie widział?

Cisza. Vladimir rzuca się nagle do przodu, Chłopiec mu się wymyka i wybiega. Cisza. Słońce zachodzi, wschodzi księżyc. Vladimir stoi nieruchomo

Budzi się Estragon, zdejmuje buty, wstaje, trzymając but w każdej ręce, idzie na przód sceny i stawia je na brzegu, po czym idzie w stronę Vladimira i patrzy na niego.

ESTRAGON: Co ci jest?

VLADIMIR: Nic.

ESTRAGON: Idę.

VLADIMIR: Ja też.

Cisza.

ESTRAGON: Długo spałem?

VLADIMIR: Nie wiem.

Cisza.

ESTRAGON: Dokąd pójdziemy?

VLADIMIR: Niedaleko.

ESTRAGON: Nie, nie, chodźmy stąd jak najdalej!

VLADIMIR: Nie można.

ESTRAGON: Dlaczego?

VLADIMIR: Jutro musimy znów tu przyjść.

ESTRAGON: Po co?

VLADIMIR: Żeby czekać na Godota.

ESTRAGON: A, racja. (Pauza.) Nie przyszedł?

VLADIMIR: Nie.

ESTRAGON: A teraz już za późno.

VLADIMIR: Tak, już noc.

ESTRAGON: A gdyby tak dać sobie z nim spokój! (Pauza.) Gdyby tak dać sobie z nim spokój?

VLADIMIR: Ukaralby nas. (Cisza. Spogląda na drzewo.) Tylko drzewo żyje..

ESTRAGON (patrząc na drzewo): Co to może być?

VLADIMIR: Drzewo.

ESTRAGON: Nie, ale jakiego gatunku?

VLADIMIR: Nie wiem. Wierzba,

ESTRAGON: Chodź, zobaczymy. (Ciągnie Vladimira pod drzewo. Stoją przed nim nieruchomo. Cisza.) Może by się powiesić?

VLADIMIR: Na czym?

ESTRAGON: Nie masz kawałka sznura?

VLADIMIR: Nie.

ESTRAGON: No to nic z tego.

Cisza.

VLADIMIR: Idziemy.

ESTRAGON: Zaczekaj, mam pasek.

VLADIMIR: Za krótki.

ESTRAGON: Pociągniesz mnie za nogi.

VLADIMIR: A kto mnie pociągnie?

ESTRAGON: Fakt.

VLADIMIR: A zresztą pokaż. (Estragon rozwiązuje sznurek, który podtrzymuje mu spodnie. Spodnie, o wiele za szerokie na niego, opadają mu do kostek. Patrzą na sznurek.) W ostateczności może być. Tylko czy wytrzyma?

ESTRAGON: Zaraz zobaczymy. Trzymaj.

Biorą za końce sznurka i ciągną. Sznurek pęka. O mało się, nie przewracają.

VLADIMIR: Do niczego.

Cisza.

ESTRAGON: Mówisz, że jutro musimy znów tu przyjść?

VLADIMIR: Tak.

ESTRAGON: Więc przyniesiemy dobry sznur.

VLADIMIR: Tak.

Cisza.

ESTRAGON: Didi.

VLADIMIR: Tak.

ESTRAGON: Nie mogę już tak dalej.

VLADIMIR: Wydaje ci się.

ESTRAGON: Może by się rozstać? Może byłoby nam lepiej?

VLADIMIR: Jutro się powiesimy. (Pauza.) Chyba że przyjdzie Godot.

ESTRAGON: No a jeśli przyjdzie?

VLADIMIR: Będziemy zbawieni.

Vladimir zdejmuje kapelusz (kapelusz Lucky'ego), zagląda do środka, wkłada tam ręką, potrząsa nim, uderza w denko, wkłada z powrotem.

ESTRAGON: To co, idziemy?

VLADIMIR: Wciągnij spodnie.

ESTRAGON: Co?

VLADIMIR: Wciągnij spodnie.

ESTRAGON: Ściągnąć spodnie?

VLADIMIR: Wciągnij spodnie!

ESTRAGON (uprzytomniając sobie, że spodnie mu opadły): Fakt.

Wciąga spodnie. Cisza.

VLADIMIR: To co, idziemy?

ESTRAGON: Chodźmy.

KURTYNA

Spis treści

[Okładka](#)

[Strona tytułowa](#)

[OSOBY](#)

[AKT I](#)

[AKT II](#)

Samuel 
BECKETT
Czekając
na Godota

Państwowy Instytut Wydawniczy